

Dziś w numerze: ● **Kronika księdza proboszcza** ● **Łódź na włóknie stoi...**
 ● **Z wędrówek po Mongolii** ● **Parada przy ulicy głównej** ● **Miniatury**
 ● **Wiersze** ● **Recenzje** ● **Felietony**

odgłosy



Nr 48 (462)
 3. XII. 1967 r.
 10 stron
 Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Dwadzieścia lat
 zespołu
 „Harnama”

Zaczął się od tego, że któregoś marcowego dnia 1947 roku, kierownik ówczesnej świetlicy ZPB im. Harnama, pani Maria Szkudlarek, na zebraniu aktywu kulturalnego zakładów powiedziała:

— Musimy stworzyć zespół taneczny. Będzie występował w naszym teatrze amatorskim. Taki zespół musi być, i to zaraz, więc bierzemy się do dzieła, towarzysze.

Na sali, jak makielem zasiał, gdyż ciekawa myśl, którą pani Szkudlarek tak niespodziewanie rzuciła, zasznurowała wszystkich od razu. Więc zrazu cisza, później nieśmiało szepty od ucha do ucha, później szum na sali, jak to zwykle bywa, aż wreszcie ktoś głośno powiedział, że to piękna rzecz, taki zespół, tylko jak to zrobić? Skąd wziąć tych tancerzy? Przecież to i próby, i nauczyciel musi być, i odpowiednie pomieszczenie, i trochę grosza, i tak dalej i dalej...

— Na początek dzieci będą tańczyć, a później zobaczymy — odparła pani Szkudlarek. Wszystko się zrobi, chodzi tylko o serce dla sprawy. Serca się znalazły, więc od słowa do czynu i już nazajutrz pani Szkudlarek prosiła o współpracę znanego choreografa, paną Jadwigę Hryniewiecką. Pani Hryniewiecka propozycję przyjęła.

Były to urodziny Reprezentacyjnego Zespołu Tańca Związku Zawodowego Włókniarzy przy ZPB im. Harnama. Marzec 1947 roku.

1.

...Lewa noga — dziewczynki! Lewa, ta od strony okna. Prawa jest od strony drzwi!

— Naszym małym, kilkuletnim tancerkom mieszały się nogi — opowiada pani Szkudlarek. Musiały się nauczyć, która jest prawa noga, a która lewa. Zresztą nie dziwne, były bardzo przejęte, miały trepe, ale też morze zapału i dobrych chęci. Pewnego dnia onieśmienie minęło bez śladu i nasze baletnice zaczęły jakby tańczyć...

Ten pierwszy taneczny zespół dziecięcy „Harnama” składał się z sześciu dziewczynek. Po kilku miesiącach solidnej pracy

Dalszy ciąg na str. 5

Czy tylko galeria?

Na dyskusję poświęconą problemom łódzkiego wystawiennictwa zaprosiliśmy: prof. ZDZISŁAWA GŁOWACKIEGO — rektora Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, BENONA LIBERSKIEGO — przewodniczącego Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, mgr. RYSZARDA STANISŁAWSKIEGO — dyrektora Muzeum Sztuki, TADEUSZA ROMANA — dyrektora Biura Wystaw Artystycznych i dra TADEUSZA TELME — przewodniczącego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Tematem dyskusji były zagadnienia proporcji w jakim wystawiennictwo łódzkie jest odbiciem zjawisk życia plastycznego w naszym mieście, miej-

scem konfrontacji w skali ogólnopolskiej, udziału naszych artystów w wystawiennictwie ogólnopolskim i udziału artystów pozalódzkich w naszym wystawiennictwie.

Z. GŁOWACKI: — Teoretycznie możliwość wystawiennictwa nie powinny natrafiać na trudności tam, gdzie istnieje duże zgrupowanie społeczeństwa i lokale wystawowe. Jak ta sprawa wygląda w Łodzi? Jest tu przecież i trochę lokalni i wystaw. Niedobrze jest natomiast na odcinku propagandy. Jeżeli na Zachodzie robi się wystawę, to po to, żeby ją później sprzedać. U nas aspekt handlowy odpada. Pozostaje natomiast sprawa sprzedania opinii o swojej twórczości. A na terenie Łodzi nie ma komu tej opinii sprzedać. Brak informacji, brak krytyki, jednym słowem brak prasy, która by swoją opinię przekazała na teren ogólnopolski, szczególnie do ośrodków, które w dziedzinie sztuki można by nazwać dyspozytywnymi. Mam wrażenie, że jest to główna przyczyna abnegowania się naszych kolegów od wy-

staw bieżących. Ten cykl wystaw, które kolega Stanisławski zorganizował ostatnio w Muzeum Sztuki, zrobił dużą propagandę wystawienniczą w zasięgu ogólnopolskim i to jest bardzo cenne, ale ja oczywiście mam na myśli inny typ wystaw. Uważam, że główną przyczyną zastój wystawiennictwa w Łodzi jest brak informacji i krytyki prasowej, absolutne milczenie prasy w sprawach zjawisk życia plastycznego w naszym mieście.

B. LIBERSKI: — Łódzkie środowisko plastyczne liczy ponad 400 członków i jest po Warszawie, Krakowie i Katowicach, czwartym co do wielkości w kraju. Wydaje mi się, że problem wystawiennictwa nie wygląda u nas najgorzej jeśli spojrzemy na sprawę z dalszej perspektywy. Mianowicie spory procent łódzkich artystów jest znany, wystawia w kraju i za granicą. Procent ten jest dość znaczny jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że członkowie sekcji architektury wewnątrz i powstającej obecnie sekcji wzornictwa przemysłowego do tej pory nie wystawiali prawie wcale.

Ze względu na zaangażowanie twórcze na-

szego środowiska moglibyśmy i powinniśmy sprowadzać większą ilość wystaw spoza Łodzi, niestety na przeszkodzie stoi „drobiazgi” w postaci liczebnej ubóstwa lokalni wystawowych. Otrzymaliśmy od Rady Narodowej piękny lokal, we wspomnianym punkcie przy Piotrkowskiej 86, ale jest to galeria mała, nie pozwalająca na urządzenie większej, ciekawszej imprezy.

Myślmy od lat o zorganizowaniu w Łodzi jakiejś ogólnopolskiej imprezy, ale projekt rozbija się zawsze o brak miejsca i na wystawę i na zaplecze magazynowe. Na ekspozycję ogólnopolską trzeba dokonać wyboru, bo ilość prac nadesłanych zawsze przewyższa znacznie ilość prac wystawianych. Wyobraźmy sobie, że nadejdzie do Łodzi 1.500 obrazów. Przecież nie będzie ich nawet gdzie postawić. Łódź jest największym ośrodkiem włókienniczym w Polsce. Powinno się zorganizować tu biennale tkaniny, targi wzo-

Dalszy ciąg na str. 6



W polityce międzynarodowej bywają okresy tak obfite w wydarzenia, że komentator jest w kłopotach, które z nich i w jakiej kolejności omówić w tygodniowym przeglądzie. Tak jest i tym razem. Bo to i liczne podróże mężów stanu, i rezolucja Rady Bezpieczeństwa w sprawie Bliskiego Wschodu, i dewaluacja funta szterlinga, i groźny wzrost napięcia na Cyprze. ...A Wietnam i reperkusje niepowodzeń amerykańskich interwencji w Stanach Zjednoczonych? Nie na wszystko znajdzie się dziś miejsce.

Wizyta premiera Szwecji — Tage Erlandera w Warszawie, w prasie światowej komentowana jest w kontekście licznych, bezpośrednich kontaktów Polski z krajami Zachodu. Przypomina się, że w bieżącym roku Polska — głównie za pośrednictwem m.in. Rapackiego — przeprowadziła bądź w Warszawie, bądź zagranicą rozmowy z ówczesnym szefem piętnastu członków NATO. Jest to — podkreślają obserwatorzy zachodni — przejaw zawsze wysokiej aktywności dyplomatycznej Polski, co podnosi jej prestiż międzynarodowy, aktywności tym razem „poddyktowanej zainteresowaniem, jak będzie wyglądała przyszłość NATO po 1969 roku”.

Zwraca przy tym uwagę zagraniczna prasa zwłaszcza „skandynawski listopad”, czyli to, że w jednym zaledwie miesiącu Polska bezpośrednio rozmawiała z trzema krajami Skandynawii: Norwegia, Dania i Szwecja. Jest to — taka jest zgodna opinia — następstwem faktu, że kraje północnej Europy żywo są zainteresowane kontaktem z Polską i okazują wiele uwagi naszym koncepcjom odprężeniowym w Europie.

Rozmowy Erlandera w Warszawie obserwowane były szczególnie uważnie, ponieważ Szwecja nie jest członkiem paktu atlantyckiego, a — co przyznał dziennik „Frankfurter Rundschau” — „polskie stanowisko w sprawie Niemiec znajduje tam jeszcze większy oddźwięk niż w Oslo i Kopenhadze”.

Inni komentatorzy zwracają uwagę na „tętno polskie”, która ich zdaniem polega na tym, że we wszystkich rozmowach Polska wydobywa to, co łączy ją z poszczególnymi krajami, pomniejszając możliwość jak najbardziej istniejące sprzeczności.

Oczywiście, owi publicyści nie odkryli przystawionej Ameryki. Będąc żywo zainteresowani europejskim bezpieczeństwem i wierząc, że kontynent nasz może stać się przykładem zgodnego współżycia krajów i ich współpracy na wielu polach — rzeczywiście szukamy wszystkich punktów zbliżenia. Bo przecież wiele jest krajów, które chcą wyliczyć wojnę jako środek rozstrzygnięcia czepokolwiek i które rade by jak najszybciej stworzyć polityczną atmosferę odprężenia. Jesień 1967, obfitująca w liczne rozmowy polityczne, raz jeszcze to właśnie potwierdza.

Innego, również optymistycznego potwierdzenia, dostarczyło nam przyjęcie przez Radę Bezpieczeństwa rezolucji w sprawie sytuacji na Bliskim Wschodzie, Rezolucja ta, zgłoszona przez W. Brytanie, jednoznacznie stwierdza, że ustanowienie trwałego pokoju w rejonie bliskowschodnim wymaga wycofania izraelskich sił zbrojnych z okupowanych terytoriów arabskich oraz poszanowania suwerenności, integralności terytorialnej i wolności politycznej każdego z państw, podejmuje problem swobody żeglugi i sprawiedliwego rozwiązania kwestii uchodźców, a także zwraca się do sekretarza generalnego ONZ o wyznaczenie specjalnego przedstawiciela, który niezwłocznie udałby się na Bliski Wschód w celu ułatwienia pokojowego kontaktu między zainteresowanymi stronami. (Został nim Gunnar Jarring — ambasador Szwecji w Moskwie).

Jednomyślnie przyjęte rezolucji po zmużonych, długotrwałych, zakuliszowych kontaktach — warto dodać, że nad pozostałymi trzema projektami rezolucji dyskusja już się nie odbyła — wskazuje, że możliwe jest znalezienie wspólnych formuł. Decyzja Rady Bezpieczeństwa zdecydowanie umacnia prestiż ONZ, właśnie konfliktem bliskowschodnim nadzarpanięty.

Niestety — uczucie ulgi, jakie ona przyniosła, zakłócone zostało oficjalnymi wystąpieniami przedstawicieli rządu izraelskiego, którzy zapowiadają „pozostanie na liniiach przetrwania ognia”. Ich zdaniem — rezolucja Rady Bezpieczeństwa w niczym nie zmienia stanowiska Izraela, chyba że podpisany zostanie z sąsiadującymi krajami arabskimi traktat pokojowy. Jak widać — agresor nadal zamierza ignorować międzynarodowe decyzje. Nie rokuje to nadziei na szybkie odprężenie. Bo przecież wycofanie się z zagarniętych przemocą obszarów jest pierwszym i zasadniczym warunkiem ustanowienia sprawiedliwego i trwałego pokoju. I tutaj nie może być mowy o żadnej dowolności interpretacji rezolucji.

Spśród innych sygnalizowanych na wstępie wydarzeń poświęćmy jeszcze nieco uwagi Cypru, o którym dawno nie pisaliśmy na tym miejscu.

Strategiczne położenie Cypru powoduje, że wyspa ta nie może zaznać spokoju. Bezpośrednie rywalizacje Grecji i Turcji, a pośrednia USA i W. Brytania o Cypr utrwala ciągle nierozwiązany problem współżycia ludności pochodzenia greckiego, która stanowi ok. 80 proc. i tureckiego (ok. 18 proc.). Tym razem incydenty spowodowane zostały przez oddziały strony greckiej, które — tak zresztą jak i strony tureckiej — w niewielkich ilościach pozostają na wyspie. Wprawdzie niektórzy komentatorzy uważają, że dowódca tych oddziałów — Grivas dokonał prowokacji na własną rękę, jednak wszystko wydaje się wskazywać, że to właśnie Ateny zainteresowane były wzrostem napięcia. Na wydarzenia Ankara odpowiedziała mobilizacją wojskową i problem znów wkroczył w fazę konfliktową.

Rozwiązanie? Może być tylko jedno — zaniechanie obcej ingerencji w sprawę Republiki Cypryjskiej, przestrzeganie rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Umocnienie niepodległości Cypru (proklamowanej w 1960 roku) sprzyjać z pewnością będzie wewnętrznym procesom integracyjnym, o co głośno zabiega prez. Makarios.

W. ŚLAWSKI

Technika TYGODNIA



Generalna gwiazda przewodnia Johnsona

Agencje podają, iż zapowiedź Frontu Wyzwolenia Narodowego Południowego Wietnamu o trzydniowym zawieszeniu broni w czasie świąt Bożego Narodzenia, trzydniowym w okresie Nowego Roku i siedmiodniowym w okresie wietnamskiego Nowego Roku, spotkała się ze zdecydowanie negatywną reakcją Waszyngtonu.

Jugosłowiański dziennik „Borba” pisze, że porozumienie między Węgrami a Niemiecką Republiką Demokratyczną, na mocy którego około 30.000 robotników węgierskich podejmie pracę w NRD, jest nowym jakościowo elementem w procesie tworzenia międzynarodowego rynku siły roboczej w obrębie krajów socjalistycznych. Zdaniem dziennika, porozumienie to świadczy o pomysłym rozwoju gospodarki krajów socjalistycznych, dojrzałości, zacieraniu wąskich, narodowych barier.

Kubański minister oświaty oświadczył, że w przyszłym roku na Kubie będzie już ćwierć miliona studentów rządu rewolucyjnego. Obecnie jest ich 200 tysięcy. Oznacza to, że co czwarty uczeń bądź student otrzymuje od rządu całkowite utrzymanie, łącznie z umundurowaniem, mieszka w internacie i korzysta z wielu innych przywilejów.

Rada Bezpieczeństwa przyjęła jednomyślnie kompromisową rezolucję uregulowania konfliktu bliskowschodniego. Obserwatorzy polityczni wypuklają dwa aspekty tego wydarzenia: po pierwsze, że jest to sukces Rady Bezpieczeństwa, a więc ONZ jako takiej, zapewniającej jej możliwość odegrania roli mediatora między stronami i po wtóre — że jest to zaledwie wstępny krok, którego powodzenie wydate się wiele problematyczne biorąc pod uwagę stanowisko Izraela, osobliwie interpretującego sens przyjętej uchwały.

Głównodowodzący wojsk amerykańskich w Wietnamie — gen. Westmoreland powiedział, że wśród dziennikarzy

stacjonujących w Sajgonie znajduje się „czynna grupa” traktująca perspektywę wojny w Wietnamie „z niezasadnym pesymizmem”. Niektórzy reporterzy — zdaniem Westmorelanda — biorąc za punkt wyjścia różne izolowane incydenty, przedstawiają w sposób przesady wpływ tych wydarzeń na całość sytuacji. „Te czynne elementy zniekształcają obraz rzeczywistej sytuacji”. Senator J. S. Clark, stwierdził natomiast, iż nie ma wątpliwości, że Westmoreland wierzy w to, co mówi, kiedy oświadcza, że jego wojska dokonują postępów. „Ale nie mogę uwierzyć, że rzeczywiście ich dokonujemy. W każdym razie, raporty wojskowe nie pokrywają się z doniesieniami inteligentnych i odpowiedzialnych dziennikarzy, znajdujących się na miejscu konfliktu”.

W jugosłowiańskim dzienniku oficjalnym ukazał się dekret ministerstwa spraw wewnętrznych zakazujący przywożenia, kolportowania w językach obcych na terenie Jugosławii, jak również tłumaczenia na języki jugosłowiańskie książki córki Stalina — Swietłany Alilujewej pt. „20 listów do przyjaciela”.

„Izrael może ogłosić wkrótce swe publiczne poparcie dla stanowiska amerykańskiego w Wietnamie” oświadczył premier Izraela Eshkol, w wywiadzie udzielonym piśmie amerykańskiemu. „Izrael i Stany Zjednoczone — według Eshkola — bronią tych samych zasad wolności i demokracji”.

Albańska agencja prasowa podaje że robotnicy z całej Albanii „z entuzjazmem dyskutują” nad decyzjami w sprawie kooperacji i rewolucji naukowo-technicznej, przyjętymi na jednym z ostatnich plenarnych posiedzeń KC oraz „podejmują środki w celu przystąpienia, ze wzmoczoną siłą, do urealnienia produkcji, techniki i nauki”.

Walter Lippman — publicysta amerykański: „Nigdy jeszcze nie byłem tak bardzo

zaniepokojony sytuacją w kraju, jak obecnie. Nie chodzi o to, że obawiam się wojny jądrowej, nie sądzę bowiem, że do niej dojdzie. Ale widzę wokół mnie upadek nadziei i wiary oraz rozkład woli, a także siły ducha. Oto, co uważam za przejawy zła”. Na zapitanie, czy widzi jakieś wyjście z sytuacji, wybitny publicysta odpisał: „Tak jest. Na czele orkiestry należałoby postawić nowego dyrygenta, który od razu postara się, aby orkiestra ponownie zaczęła grać w rytmie. Wyjście znaleźć można tu, w samym kraju”.

Na zaproszenie KC ZrKJ przebywa na urlopie w Jugosławii członek Biura Politycznego KC KPZR — Dymitr Polański.

J. K. Galbraith, były ambasador USA w Indiach przedstawił plan „taktuwnego rozwiązania” problemu wietnamskiego, które pozwoliłoby Stanom Zjednoczonym wycofać swe wojska z Wietnamu. Uważa on, że właściwe rokowania winno poprzedzić spełnienie przez USA następujących warunków: natychmiastowe wstrzymanie bombardowań północy, wycofanie wojsk amerykańskich z wszystkich „wysuniętych pozycji” w Wietnamie Południowym, zawieszenie bombardowań stanowisk Vietcongu w Wietnamie Południowym.

Obserwatorzy polityczni w Tokio utrzymują, że ostatnio miała się odbyć osiemnastodniowa konferencja przedstawicieli chińskiej armii ludowej z udziałem ponad 1.300 oficerów i żołnierzy, na której omawiano kandydaturę marszałka Lin Piao, jako ewentualnego następcy Mao Tse-tunga. Konferencja podkreśliła, że myśli Mao Tse-

Palestyńczykaci wypędzonych z ich ziem i dla nich zachowując me uczucia”. W dalszej części wywiadu prezydent ZRA mówił: „Żydzi są naszymi krewnymi. Mieszkaliśmy wspólnie przez długie wieki. Dopiero syjonizm zrodził problemy i w następstwie tego nie był już możliwy żaden układ między Żydami, Arabami i chrześcijanami. Możemy mieszkać wspólnie w tym samym domu, ale nikt nie może zagarnąć całego domu dla siebie i wyrzucić zeń innych”.

Tegoroczne zbiory zbóż w ChRL są o 10 proc. wyższe niż w roku ubiegłym. Szacuje się, że Chiny dysponować będą nadwyżką około 14 milionów ton ryżu.

Opublikowane w ZSRR relacje Johna Smitha nt. „Byłem szpiegiem amerykańskim”, w których podaje on m. in., że wywiad amerykański współdziałał przy organizowaniu zbrojnego powstania plemion Naga w Indiach i, że na żołdzie amerykańskim było m. in. dwóch generałów indyjskich, stały się przedmiotem interpeacji w izbie niższej parlamentu hinduskiego. Nawet posłowie prawicy uważają, że zbyt często wymienia się ostatnio New Delhi jako ośrodek działalności CIA na terenie Azji i, że samo tylko nastilenie takich pogłosek powinno wystarczyć do podjęcia przez rząd bardzo skrupulatnego śledztwa w sprawie działalności wywiadu amerykańskiego w tym kraju.

Belgradzki „Komunist” uważa, że obecna sytuacja w Chinach nie jest ani zwycięstwem, ani porażką, ani końcem rewolucji kulturalnej. Gazeta wyraża opinię, że nastąpił okres, w którym przeciwnicy znają się nawzajem



Bonn: Od 18 lat nie widzimy na Wschodzie

lunga są główną bronią w walce z egoizmem czy revisionizmem i wskazała na Lin Piao jako wzór działalności na rzecz ustalenia absolutnego autorytetu przewodniczącego Mao.

Przywódca większości demokratycznej w senacie Stanów Zjednoczonych Mike Mansfield wezwał rząd sąjski do nawązania bezpośrednich rokowań z południowowietnamskim Frontem Wyzwolenia Narodowego.

Prezydent Naser udzielił wywiadu tygodnikowi „Espresso”. Na pytanie jakiego żywi pan uczucia wobec Izraela, politycznej i ludzkiej, Naser odpowiedział: „Z politycznego punktu widzenia Izrael jest wrogiem, na płaszczyźnie ludzkiej myślę raczej

znacznie lepiej i bardziej realnie oceniają zjawiska i swoje własne możliwości.

W wywiadzie dla rozgłośni radia Luxemburg senator Robert Kennedy, na zapitanie, co myśli o ostatnich ankietach, z których wynika, że popularność prezydenta Johnsona maleje, oraz czy zamierza wykorzystywać ten fakt dla swych celów osobistych, odpowiedział: „Nie mam żadnych planów. Powiedziałem już, że nie jestem kandydatem (na prezydenta) i, że nie mam zamiaru przedstawić swojej kandydatury w roku 1968. Wyniki ankiet wykazują w każdym razie wahania od jednej ankiety do drugiej. Wynik te są narazie korzystne dla mnie, ale za dwa lub trzy miesiące szanse moje mogą zmaleć”.

LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Z najwyższym zainteresowaniem czytałem w „Odgłosach” z dnia 19. XI. br. wypowiedzi uczestników dyskusji zaaranżowanej przez Redakcję „Odgłosów” na temat jak najbardziej aktualny bo dotyczący estetyki naszego miasta. Niestety, obserwujemy niewybaczalne marnotrawstwo wspaniałego kapitału, jaki Łódź posiada w postaci wielu wybitnych i tyle dobrej woli wykazujących artystów plastyków. To wygląda na paradoks, że właśnie tu, w Łodzi, w mieście o przysłówowej już szarych nie ma na zapotrzebowania na prace artystów plastyków.

Wierzę jednak, że z „plastycznej pustyni” przedziemy w niedługim czasie do Łodzi ozdabiającej trwałąmi wartościami plastycznymi, bo przecież zagadnienie estetyki miasta, nasświetlone w dyskusji niewątpliwie wywoła żywy rezonans ze strony odpowiedzialnych za ten stan rzeczy ojców miasta, zainteresuje również zakłady pracy, jak i szerokie kręgi łodzian. Ale zagadnieniu należy nadać formy organizacyjne, ująć go w normy prawne. Wydaje mi się, że jak najbardziej słusznie sugerowano w dyskusji konieczność powołania specjalnej organizacji, która kierowałaby sprawami estetyki miasta, miała własne konto w PKO, posiadała prawo dysponowania sumami, jakie na ten cel wpłyną. Sprawa powołania takiej piękna naszego szarego miasta,

organizacji, ustalenie składu jej kompetencji leży w ramach działalności władz miejskich, bo tylko one są upoważnione do nadania zagadnieniu właściwych, realnych kształtów.

Ale równocześnie trzeba podkreślić, że bez szerokiego poparcia sprawy ze strony miejscowej prasy nie można myśleć o powodzeniu. Tam, gdzie chodzi o mobilizację wysiłków w takiej czy innej postaci musi być stworzony dobry dla tej sprawy klimat. Klimat taki może stworzyć prasa, podstarzonych czynników kształtujących postawy ludzkie. A tu wszak chodzi o mobilizację sum pieniężnych, które przede wszystkim winny wpływać od zakładów pracy. Docenianie więc zagadnienia przez dyrekcje zakładów, rady zakładowe zapewni powodzenie sprawy finansowej, podstawowego elementu zagadnienia.

Jestem optymistą i wierzę, że plany na ten cel popłyną od zakładów pracy, dla których znajdy się prawne możliwości przekazywania sum na podnoszenie

Wierzę, że i społeczeństwo widząc konkretne rezultaty działalności powołanej, nazwijmy, Komisji do Spraw Estetyki Miasta nie poskapi oślar dla swego wspaniałego miasta. Wierzę, że wkrótce powstanie „fundusz na ozdobienie miasta trwałymi wartościami plastycznymi” i chcielibyśmy zapoczątkować przesyłając na ręce redakcji „Odgłosów” sto złotych, część mojej listopadowej nagrody nauczycielskiej, z prośbą o przekazanie tej sumy na konto komisji, który nicwatpli wie pod taką czy inną nazwą zostanie powołany przez władze miejskie.

Cieszyć się będą, kiedy urzeczywistnią się marzenia jednego z dyskutantów, które są marzeniami nas wszystkich: oby parki i zieleń naszego miasta stały się galeriami sztuki!

Łączę wyrazy poważania
TEODOR SUJCZYŃSKI

Łódź dnia 21 listopada 1967 r.
PS. Trzy razy chuchał na te moje skromne sto złotych, aby dały one dobry początek.

T. S.

Kronika księdza proboszcza

Zbierając materiały do reportażu, natrafiłem w Pajęcznie na kronikę będącą w posiadaniu tamtejszej parafii. Prowadził je na przełomie wieku, aż po pierwsze lata Niepodległości ówczesny proboszcz, ksiądz W. Pogorzelski. Warto przebrnąć przez wiele stron zapisanych wyblakłym staroświeckim piśmem, warto poznać troski kapłana z Pajęczna, takie same zapewne jak w wielu innych parafiach (remont kościoła, zakup ornatu, kłopoty z dzierzawcami) by wreszcie natknąć się na żywe opisy lat pierwszej wojny światowej, a potem na karty poświęcone pierwszym dniom niepodległości w Radomsku.

Obraz tych dni, utrwalony w naszej literaturze i pamiętnikarstwie jest zazwyczaj jakby wyzbyty konfliktów: dominuje w nim powszechny i jednoczący entuzjazm patriotyczny, żywiołowa radość tworzenia nowej państwowości. Inaczej spisywana na gorąco relacja starego proboszcza — stronnicza, ale kto wie czy przez to jeszcze nie ciekawsza i nie bardziej godna uwagi.

Oddajmy więc głos księdzu proboszczowi. Oto fragmenty jego kroniki. (Zachowujemy pisownię autora)

NIEMOKOJE W PAJĘCZNI

Z dawna znane z tego Pajęczno. Niespokojne duchy z lada powodu zawsze gotowe do tumultu. Z racyi wyjścia okupantów-austriaków i nastania wolności kraju, a w tem i pełnej wolności obywatelskiej zawistne „lewicowe”, tutejsze osobistości postanowiły pousuwać dotychczasowych urzędników, a obsadzić te urzędy swymi figurami. A więc hasło: „Wójta i pisarza przez! Nowych wybrać!” Stwarzała tedy własną (pierwszą) Radę Gminną ze swoich, stwarzając kampanię przeciw dotychczasowym urzędnikom gminy, a w końcu samowolnie wybierając wójta Stanisława Poliszewskiego i gwałtem usuwając dotychczasowego Piotra Tkaczyńskiego, który w końcu widząc ciągłe awantury sam dobrowolnie z wójtostwa ustąpił. Pisarz, p. Mirowski, człowiek prawy i z godnością, zejść z placu nie chciał. Rozpoczęło się w listopadzie 1918 r.). W parę tygodni za popelnione nadużycia nowy wójt został zawieszony w urzędzie i otrzymał polecenie oddania kasy, xsąg i pieczęci na rzecz tymczasowego mianowanego przez Powiat. Oddać dobrowolnie nie chciał, więc w pierwszych dniach (2 czy 9) lutego żandarmerya w niedzielę po nie-

szporach aresztowała rzeczonego wójta i odprowadziła na posterunek jako więźnia. Rodzina i adherenci wszczęli alarm i wnet tłum ludu urzęda napad na posterunek i szturmowanie do drzwi. Żandarmerya dała parę strzałów w górę, ale też i dwa strzały dołem. Postrzelono w nogę dwu napastników, tłum powoli się rozszedł zwracając. Na skutek telefonicznej depezy przybył z Radomska „karny oddział” — samochód z żołnierzami oraz okoliczne posterunki policyjne, ogółem około 50 ludzi i nocą rozpoczęto aresztowania. Aresztowano około 30 najgorętszych, niektórzy się poukrywali. Żołnierze z własnej ochoty nie żalowali bicia kolbą i t.p. poczęstunków; dwunastu z tych zawieziono pod silną strażą do więzienia w Radomsku gdzie różnego obchodzenia doznali, a w końcu za kaucyą lub poręczeniem po 2 tygodniach uwolnieni zostali. Ostudziło to narazie zaciętrzewionych. Mniej więcej ci sami nadsiadując rosyjskich bolszewików postanowili zająć lasy rządowe okoliczne. A więc utworzyła się różnego domowe i podwórzowe narządzie i wyruszyła w stronę Murowańca, ażeby leśniczego i strzelców usunąć, a samym objąć leśniczkę, kasę i zarząd. W pół drogi udało się wachmistrzowi wyperswadować awanturnikom całe przedsięwzięcie i jakoś się wrócili (stad też i ona ekspedycja karna powyżej).

WYBORY DO I SEJMU „USTAWODAWCZEGO”

Po raz pierwszy ludność kraju stanęła wobec wyborów. Lud wiejski ciemny, nieprzygotowany całkowicie do spraw publicznych-państwowych, ani o tem zdania, ani pojęcia nie mający stał się igraszką różnych „macherów”. Męty z Galicyi przybyłe — socjaliści, demagogi ludowcy, a nadto niezdrówie bolszewickie jednostki w Rossyi tem zarżone — rozpoczęły „uswiadamanie” ludu. Używano hasel popularnych, gdzie indziej już nie oddziaływujących, ale tu nigdy niesłyszanych oszalełymi lud i podbechtywały. „Precz z panami! Ziemia dworska dla chłopów! Darmo ludowi ją porozdawać! Wgnąć burżujów ze wsł! Dość już krwi waszej pili! Teraz chłopci mają rządzić Polska je republika ludowa!” Zwracano się też i przeciwko księżom ad re „wysokich opłat za postugi religijne, albo z racyi trzymania z panami i dworami”, wszelkie zaś wyzywania ludu do ładu i spokoju były także przekreślane przeciw księżom. Na nieprzywykłego do tego bezkrytycznego chłopca samo gadanie o nowych daniach rzeczach działało, a śmiałości i schlebienia agitatorów, basowanie i obiecywanie ziemi i lasów pańskich działało niewypowiedzianie. Ze strony narodowej oddziaływanie było bardzo słabe, a nadto stronnictwa ładu i porządku nie mogły schlebiać niskim instyktom tłumy. Toteż lud w wielu miejscach „dał się wziąć” na obietnice demagogów i głosował na kandydatów skrajnych. Wiele tu też zawinił inspektor szkolny, socjalista, który wpłynął że na dużą ilość nauczycieli i ci też agitowali w b. wielu razach przeciwko kandydatom narodowo-usposobionym. W Pajęcznie zwyciężyła lista nienarodowa. Tegoż roku dokonano się w Pajęcznie rozprzedanie miejscowego donacyjnego folwarku, ponieważ jednak sprawa nie została całkowicie załatwiona, opis faktu odkładam na rok następujący.

STRAJKI SŁUŻBY DWORSKIEJ

W ciągu br. socjaliści usilnie nad tem pracując zorganizowali służbę dworską. Przyznać trzeba, że w bardzo wielu razach służba dworska była licho wynagradzana i wyzyskiwana przez właścicieli. Ostatecznie jednak już przedtem nastąpiła umowa właścicieli majątków ze służbą, mocą której i zapłata i ordynaryja (wymiar zboża, kartofli etc) doszły do właściwej dostatejnie bardzo normy. Socjaliści dający do zgniecenia „burżujów” mając już służbę zorganizowaną przez swoich agitatorów w różnych miejscach kraju zimą, wiosną, latem, wszczynali tak zwane strajki (bezrobocia).

Strajki bywały białe i czarne, ostatnie obejmowały nawet zaprzestanie karmienia, dojenia, pojenia inwentarżów. W wielu razach kończyły się strajki po paru dniach, ale bywały i ostrzejsze, gdzie wojsko robiło porządek. Socjaliści tedy zbolszewizowani postanowili strajk powszechny na czas kopania, aby dwory wygłodzić „Nlech zgnie burżujom!”. Zamiar i bezdennie głupi i zbrodniczy. Nie burżuje bowiem, ale ludność miejska i wojsko na frontach walczące musiało to odczuć. W czasach ogólnego braku środków żywności, głodu i drożyzny było to wprost zbrodnią. Toteż powszechnie wszyscy traktowali jako dzieło „bolszewizmu” rosyjskiego i reki niemieckiej która postanowiła nas ogłodzić i skłócić ze sobą. Strajk ogólnie biorąc nie udał się. Bezrobocie trwało pół dnia, dzień, rzadko gdzie dłużej. Chociaż były dwory, gdzie wojsko musiało siłą rozbrzykane chłopstwo do roboty zmusić. Strajk nie był spowodowany potrzebą, bo sami formale i służba przyznawali, że teraz im dobrze, że do dziedzica nie mają o nic pretensyi i że nie z ochoty, lecz z nakuwu strajkują. Trwał krótko, zapadł w dniu 24 i 25 października, ale zaraz też przysłyły mrozy i te dobiły. W każdym razie z uwagi na ilość dworów, ilość próżniacej służby, ilość próżniujących koni i wozów, w ogólnym sumie szkody tego strajku były olbrzymie w następstwach.

Tyle o pierwszym polistopadowym okresie drugiej Niepodległości, o tym jej mniej znanym obliczu, podpatrzonym w zabitym deskami i ledwie wówczas półtoratysiecznym Pajęcznie. Książę proboszcz zapewne nie spodziewał się, że po latach zapiski staną się interesującym źródłem historycznym. Nie tał swych bardzo jednoznacznych sympatji politycznych, nie stroił się w szaty rzecznika sprawiedliwości społecznej. Tym wiarygodniejsze są więc jego opisy, między wierszami których odczytać można prawdę o ogólnej sytuacji kraju: dławiony strzałami do tłumy, zaskakujący żywotny nawet tu, w tym zabitym deskami Pajęcznie, ruch lewicowy, aresztowania i rozprawy z bezbronnymi, masakry i ekspedycje karne. I wszędzie — wojsko wysyłane z jakimś pośpiechem. Na samochodzie! (Ile tych samochodów było w 1918 r. w Radomsku?). Wojsko, owa potęga, narodowa świętość, od pierwszych niepodległych chwil zaprzęzone do najbrudniejszej politycznej roboty, zarowadzające „lad”, pedzące „rozbrzykanych” chłopów do pracy na dworskim. Żołnierze Polski — „nie żałujacy kolby”, „poczęstunku”.

Podpatrzone przez „starego proboszcza” bole porodowe drugiej Niepodległości były istotnie bardzo ciężkie. Zwiastowały przyszłe ulomności rodzącego się państwa.



Nożycami przez PRASĘ

NAUKA, SEKS... ITD.

Ostatni numer miesięcznika „Twórczość” otwiera króciutki poemat Antoniego Słonimskiego pt. „Odszeplenie”. Rzadko wśród bieżących publikacji poetyckich zdarza się utwor głęboki, a jednocześnie tak czysty w wyrazie. Jest to obrachunek poety ze sobą i światem, nie pozbawiona gorczy w obliczu ostateczności akceptacja sa motnej walki o humanizm.

Znany socjolog Zygmunt Bauman zamieszcza wioletematowy szkic „Notatki poza czasem”. Koresponduje on jakoś z poematem. Z kilku poruszonych przez Baumana spraw wybieramy dwie. Socjolog pisze — eokolewiek pamfletowo — o pewnych przejawach sklerenia nauk humanistycznych gdzie coraz częściej wystarcza metoda, sumowa nie ankiety. Pisze Bauman: „Prawda jest procesem”. Naukowe krasnoludki skrupulatnie przykroili skrzydła tej skrzydlatej formule. Przetłumaczyli

Ją na swój język: to tak jak wyrastanie tulipanka z cebulki. Najpierw lodyżka, potem listeczki, potem paczuszek, w końcu kwiatusek. A najważniejsze: my podlewamy z konewczki, my chwastki pielimy. A dookoła plotek i „uwaga, zły pies!” Krasnoludki lubia pokój, więc nie lubia wychodzić ze swego ogródka na ruchliwiej drogi życia. Przetłumaczyli więc sprytnie skrzydlate zdanie w ten sposób, by można je było wyznawać siedząco. Zehy można było zachować błogie przeświadczenie, że się zawiaduje procesem prawdy, nie tracąc za razem rozkoszy ogródkowej sje sty.

A przecież „prawda jest procesem” znaczy: ludzkie idee uprawdowiają się przez czyn. Dramat weryfikacji prawdy ludzkiego życia nie dzieje się w żadnym ze schłodnych oródków. Każda ogródkowa scena okazałaby się zbyt mała. Historia jest najwyższym arbitrem prawdy. Prawda powstaje przez tworzenie historii.

O relacji seks — miłość:

Seks tak się ma do miłości, jak posiadanie. Seks jest namiastką miłości. Seks jest posiadaniem ciała innego człowieka, wyłączeniem tego ciała z obiegu towarów, próbą uczynienia go przedmiotem-dla-siebie przez uniemożliwienie mu bycia-przedmiotem-dla-kogoś-innego.

Czyli:

Moja miłość promieniuje na innych, moje posiadanie od innych mnie odina. Seks można kupić i sprzedać, seks jest sposobem obcowania, w którym obcuje osoby są wymienne. Miłość odstąpić ani nabyć nie można, miłość jest obcowaniem osób, którego sens tkwi w tym właśnie, co niewymienne, bo nie istnieje poza owoimi osobami, nie obiektywizujące się, nieprzekazywalne, niekomunikowalne, nie wyrażalne w języku pojęć. Tu chyba tkwi różnica między literaturą miłosną a pornografią. W różnicy między językiem emocji a językiem pojęć? Miedzy współprzeżywaniem a towarem? Miedzy spełnieniem tęsknoty egzystencjalnej a jego namiastką?

ROZCZAROWANIE, ALE BEZ ZNIECIEPLIWNIENIA...

Dotyczy współczesnej, tej modnej i do niedawna budzącej uznanie, nieszad absolutyzacji, praktyki literackiej: abstrakcji, nizmów w poezji, kontemplowania samej sztuki pisania; teatru

absurd; opowieści o sobie, o sfrustrowaniu i wyalienowaniu w prozie; autodoracji. Coraz częściej wypowiadają swoje rozczarowanie nawet nasi krytycy (gdymyż je ilustrowali jeszcze konkretnymi przykładami czyli w praktyce recenzentek) oraz sami twórcy. Głosy, poniżej wrywkowo przytoczone, należą do przedstawicieli różnych pokoleń, co trzeba podkreślić.

Wyznaje w „Odrze” Urszula Kozioł, ceniona poetka młodego pokolenia:

Brak kropek lub ich nadmiar, nawias i antynawias, zwyżcznik i rozrywnik — nic tu ani nie doda, ani nie umnie. I nie w tym nowość, i nie w tym ja kość lub też nikość prozy.

Nawiązując do zabytków — żywych — poezji starożytniej, autorka nie wierzy w kasandry, zwłastując śmieć sztuki lub jej niepotrzebność:

Zdumiewające jest owo przewijające się w dawnych wierzeniach poszukiwanie ładu, głód jakiegos etycznego porządku. Szukanie idei nadającej sens trwaniu. I zdumiewające jest odwieczne poszukiwanie kształtu artystycznego dla ludzkiej marzeń i zmagania, niepokojów i dokonania: głód sztuki.

Włodzimierz Maciąg („Życie Literackie”) przypomniał dzieje ewolucji:

W ostatnim półwieczu twórczość literacka przeszła gwałtowną ewolucję, która doprowadziła do zaskakujących, a na-

wet nieoczekiwanych rezultatów. Literatura zmieniła swój stosunek do świata i człowieka, życie ludzkie traktowane dawniej jako misja stało się przedmiotem usprawiedliwienia; świat jako obiekt eksploatacji, jako teren ekspansji; świat jako szansa wybicia się, utwierdzenia się w jakichś wartościach, jako możliwość znalezienia miejsca — stał się siłą agresywną, podmiotem, rzeczywistością zagrażającą człowiekowi, przeciwnikiem o tyle silniejszym, że odbierającym właściwie sens walce.

I określa swój stosunek do sytuacji:

Literatura jest bowiem formą budzenia wzajemnych zobowiązań pomiędzy autorem i czytelnikiem, formą porozumienia, z którego wynika jakiegoś konsekwencje, jakiegoś rewizje wewnętrzne, fermenty, jakieś w końcu nieuniknione uczulenia i bliźny. Ale porozumienie takie możliwe jest tylko pod warunkiem, że pisarz odwoła się do wartości, które owo zaciętnikami, że nowość zatem stanie się przypadkowym, ubocznym rezultatem jego pracy, następstwem okoliczności historycznych, że przeżycie stanie się celem.

Zaś Włodzimierz Sokorski („Kultura”) pisze o powieści politycznej, rozumianej szeroko jako obraz artystyczny rzeczywistości. Stwierdza na wstępie, że i na Zachodzie przeżył się abstrakcjonizm i literatura absurdal, obserwuje się „pogoń za utraconym faktem”.

Nie znaczy to oczywiście, że ludzie nie chcą psychologizującej literatury i że nie marzą o artystycznym spektaklu w telewizji, lecz nie „zamiast polityki” a obok polityki, czy też równocześnie z polityką.

Wymieniając powieści Bratnego, Zukrowskiego, Putramenta i innych, które błyskawicznie znikają z półek, Sokorski zdaje sobie jednocześnie sprawę z trudności pisarskich.

Wydaje mi się, że w tym miejsu należy postawić kropkę nad „i”. Współczesna powieść polityczna na miarę „Wojny i pokoju” Tolstoja nie narodzi się łatwo. Świat przyszłości jest do piero „in statu nascendi”.

Artykuł kończy się apelem o właściwy klimat dla tego rodzaju twórczości.

Obywaliśmy więc naszym jest wytworzyć właściwy klimat krytycznej życzliwości dla wszelkich prób socjalistycznej powieści politycznej, pamiętając i o twórczym trudzie pisarza i o głodzie wśród czytelników na literaturę „historycznego faktu”. Musimy cierpliwie i wytrwale, mimo oporów i trudności pracować nad sztuką zaangażowaną, dyskutować nad nią, a nawet ją krytykować, lecz nie przekreślać przy pierwszym niepowodzeniu.

Dla porządku dodajmy, że ten apel od lat wynika z rozważań na podobne tematy.

JAN OLECHNO

Łódź na włóknie stoi

Zaczął się zaraz na początku XIX wieku, kiedy to postanowieniem Księcia Namiestnika Łódź zaliczono do rzędu miast fabrycznych. Miasto, to może słowo zbyt wielkie, jak na ówczesne czasy, gdzie w Łodzi było zaledwie 767 mieszkańców, ale właśnie wtedy dokonał się gwałtowny skok i nazwa zaczęła odpowiadać rzeczywistości.

W 6 lat po unii celnej Królestwa Polskiego z Cesarstwem Rosji było tu już 2.843 mieszkańców. W XX wiek Łódź wkroczyła z przeszło 300 tysiącami obywateli. Było to już miasto przemysłowe, ale kształtowane żywiołowo, czego skutki mamy przyjemność doświadczać do dziś.

Zaczął się więc wiedzieć. Dziś możemy tylko stwierdzić: Śląsk na węglu stoi, a Łódź na włóknie. Prawdy banalne, ale nie jest w stanie zmienić ich lokowanie zakładów przemysłu lekkiego na Śląsku i maszynowego w Łodzi. W ubiegłym roku w Łodzi wyprodukowano 321,7 miliona m tkanin bawełnianych i bawełnopodobnych, a w województwie łódzkim — 154,5 miliona m. Tu — w środku Polski — koncentruje się przemysł bawełniany, tu zlokalizowano jego ośrodki dyspozycyjne. Tutaj, też warto rozważyć problemy tego przemysłu, zastanawiać się nad jego przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, bo nie jest to obojętne dla miasta.

2.

Polski przemysł włókienniczy produkuje tkanin bawełnianych 845 mln metrów; i prawie połowa tego powstaje w Łodzi i jej okolicach. Produkuje tkanin bawełnianych więcej niż Wielka Brytania i więcej niż Czechosłowacja, ale produkujemy je na znacznie gorszym parku maszynowym. Mamy bowiem w całym przemyśle bawełnianym — w przedsiębiorstwach i średnio-przedsiębiorstwach jeszcze 11,4 proc. maszyn sprzed 1900 roku, 15,2 proc. z lat 1901—1920, 27,4 proc. maszyn z lat 1921—1947 i 46 proc. maszyn zainstalowanych po 1947 roku. Podobnie jest w przedsiębiorstwach odpadkowych. Nie lepiej w tkalnictwie, gdzie w latach 1956—1965 zainstalowano 1.541 krosien automatycznych typu Saurer, co stanowi zaledwie część w porównaniu ze stanem posiadania przemysłu bawełnianego — 41,7 tys. krosien. Zupełnie źle jest w wykończalniach, gdzie nowoczesne metody bieleńia pozwalają na objęcie tylko 40 proc. produkcji i gdzie drukarki do drukowania walegowego pochodzą z lat 1880—1900, a maszyny pralnie z lat 1890—1905.

Mimo tego stanu maszyn produkujemy handlowo i nasze tkaniny bawełniane cieszą się wzięciem. Zagraniczni specjaliści — nasi konkurenci — chwala robotę polskich przedsiębiorców i tkaczy, ale krzywią się na wykończenie. Mają rację, bo choć obecnie potrafimy sprostać wymogom zagranicznych kupców, to jak długo wytrzymamy odstając od światowego poziomu w dziedzinie wykończalniczości?

3.

Można cofnąć się do przeszłości, kiedy Łódź starwała się ośrodkiem przemysłowym i kiedy rósł jej potencjał. Decydujący skok dokonał się w latach 1885—1912. W roku 1840 globalna produkcja przemysłu łódzkiego wynosiła 941 milionów rubli, w 17.000 milionów rubli, w 1885 — 40 miliardów rubli, a w 1912 — 196 miliardów rubli. W tych latach kupowano i instalowano wiele nowych maszyn. Sporo z nich pracuje jesz-

cze do dziś. Również większość budynków pochodzi z tego właśnie czasu. Wtedy nikt nie myślał o planowaniu perspektywicznym. Decydowała konkurencja, zysk, szybkość decyzji i skuteczność rozwiązań. Ludo wa mądrość głosi, że „co nagle to po diable”, no i do dziś mamy skutki tej nagłości. Tylko co nam ta świadomość daje? Ze wszystko trzeba zmienić?

W całym kraju średnie zużycie środków trwałych wynosiło w 1966 roku 41,1 proc., w Łodzi — 51,7, w przemyśle włókienniczym — 55,9 proc. Maszyny i urządzenia w przemyśle włókienniczym zużyte były w 1966 r. w 63,1 proc., środki transportu — w 71,3 proc., a budynki — w 45,3 proc.

Trzeba więc wiele zmienić, odbudować, pobudować, wyremontować i zabezpieczyć. To nie nowego. W latach 1956—1965 przemysł bawełniany Łodzi i województwa pochłonął 46,1 proc. nakładów inwestycyjnych całego przemysłu bawełnianego. Na lata 1966—1970 przewidziano, że w okręgu łódzkim pozostanie 66 proc. nakładów. To sporo. Można zatem sądzić, że dostrzeżono potrzeby regionu łódzkiego — jego przemysłu bawełnianego. Niestety, nakłady poniesione w latach 1956—1965 nie wpłynęły w sposób decydujący na poziom techniczny tego przemysłu, a nakłady przewidziane na obecną pięcioletkę nie odpowiadają w pełni potrzebom.

4.

Mogłoby się wydawać, że rozwiązanie problemów łódzkiego przemysłu bawełnianego leży wyłącznie na płaszczyźnie ekonomicznej. Po pierwsze — potrzeba pieniędzy, mocy produkcyjnych w budownictwie przemysłowym, terminowego dostarczenia zakupionych maszyn i urządzeń i odpowiedniej ilości środków transportu. I to jest prawda, ale tylko w części. Bo — po drugie — potrzeba również nowego sposobu myślenia. Chodzi bowiem również o koncepcję całej branży. Odpowiedź na pytanie: jaki ma być ten przemysł za 10, 20, 30 lat? Czy będą to tkalnie tylko z krosnami bezczołkowymi, przedalnie bezwzręczonowe, czy też obok nich znajdą się nowe techniki — „malimo”, „malipol” — przedziny, włókniny i inne, czy też będzie to jeszcze koegzystencja staroci i nowinek? Ba! Chodzi zatem o koncepcję, z jakiej wynikałaby odpowiednia decyzja, chodzi o to, aby nie trzeba było wstydić się jej przed wnukami.

Ale to jeszcze nie wszystko!

Koncepcja to jedna sprawa — niezbędna, to prawda, ale nie jedyna. Do jej realizacji niezbędne są środki. Przede wszystkim maszyny. Tymczasem maszynami zajmuje się w Polsce przemysł ciężki. Produkuje on wielkie statki oceaniczne i precyzyjne maszyny. Gdzieś między kolosami a skomplikowanymi drobiazgami znajdują się maszyny włókiennicze. Tak więc koncepcja „bawełny” musi zgodzić się z koncepcją przemysłu maszynowego. Nazywa to się koordynacją planów. I wydawałoby się, o nią nie trudno, bo przecież oba zjednoczenia znajdują się w jednym mieście, prawie przy jednej ulicy, ale zadania i możliwości ich są różne. W rezultacie w zakładach przemysłu bawełnianego powołano biura konstrukcyjne. „Bawełna” obok „perkalików” produkuje — nie zgadniecie — „maszyny włókiennicze”. Ten oczywisty paradoks, potwierdza tylko, że nie najlepiej dzieje się w królestwie bawełny.

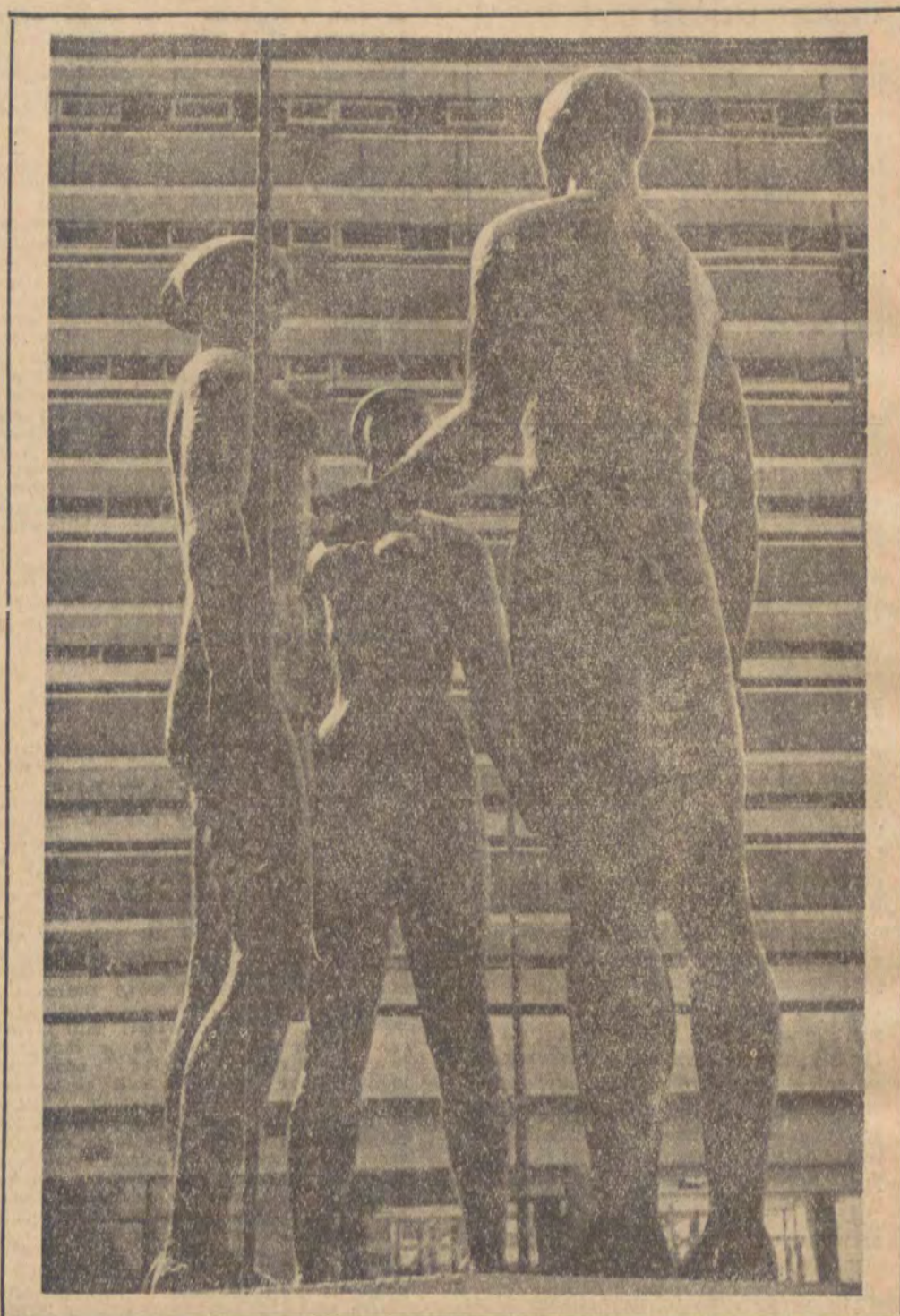
5.

Pod koniec roku 1966 w Łodzi było 746 tys. mieszkańców. W wszystkich dziedzinach gospodarki uspołecznionej pracowało 374 tys. ludzi. Fabryki stale poszukiwały i poszukiują pracowników. Średnio w roku brakuje około 2 tys. osób. I w tych warunkach przemysł bawełniany planuje na rok 1968 dalszy przyrost zatrudnienia. Dlaczego? Bo przy pomocy rosnącego zatrudnienia chce wykonać rosnące zadania produkcyjne. A więc taki jest rezultat nawet niedostatecznej modernizacji?

6.

Modernizację przedziału i tkalni oparto przede wszystkim na maszynach produkcji krajowej. Okazuje się jednak, że zgrzebiarki mają ciągle jeszcze niską wydajność, przedzarki — niskie obroty wrzecion, przewijarki — małą szybkość, klejarki komorowe — niską wydajność i brak urządzeń pomiarowych i kontrolnych, a krosna automatyczne — niskie obroty.

Poza tym szybsza modernizacja przedziału



spowodowała rozbieżności między ich możliwościami produkcyjnymi a zdolnościami tkalni i wykończalni. Nastąpił wzrost kooperacji pomiędzy poszczególnymi ośrodkami przemysłu bawełnianego — wzrost kosztów, zużycie i zaabsorbowanie transportu, kłopoty z terminami. Program dalszej modernizacji na lata 1966—1970 nie zmniejszył tych dysproporcji — głównie między przedziałami i tkalniami.

Zmniejszyć te dysproporcje może tylko przemysł maszynowy, tzn. jeśli dostarczą odpowiednich ilości, nowoczesnych, sprawnych maszyn. Oznacza to zakup licencji, rezygnację z produkowania maszyn jednostkowych, np. bielników, których my robić nie umiemy i długo nie nauczymy się, a co najważniejsze, nawet nie potrzebujemy. Taniej jest je po prostu kupić u doświadczonych producentów.

7.

Liczby, procenty, skomplikowane nazwy włókienniczych maszyn — wszystko to może pozornie wydawać się obojętne dla mieszkańca drugiego miasta w Polsce. Jeśli nawet nie zna się na sprawach ekonomicznych, jeśli dalekie są mu problemy przemysłu bawełnianego, to musi sobie zdawać sprawę, że one — tak jak problemy całego przemysłu lekkiego — w konsekwencji decydują

o rozwoju miasta, o jego dalszych losach. I dlatego dobrze byłoby, aby każdy łódzianin choć w części świadomy był decyzji, koncepcji i rozwiązań nieobojętnych dla miasta. Są to bowiem wszystkie czynniki miastotwórcze. Od nich m. in. zależy charakter i oblicze przyszłej Łodzi.

Jaka więc będzie łódzka „bawełna”? Czy zdolna będzie dać siły żywotne miastu? To część, która od niej zależy? Gdzie szukać odpowiedzi na te pytania?

Przede wszystkim w samej „bawełnie” — w tym, czy potrafi stosując najlepszą i korzystniejszą koncepcję rozwoju branży, doskonalić ją i najlepiej wprowadzić w życie.

Po drugie — czy przemysł budowy maszyn włókienniczych potrafi wyrwać się z obecnego impasu i odpowiedzieć na zapotrzebowanie wszystkich dziedzin przemysłu lekkiego. Od tego, czy w jego biurach konstrukcyjnych znajdują się młodzi, zdolni i doświadczeni konstruktorzy. Są to czynniki niezbędne. Bo nie uratują przemysłu budowy maszyn włókienniczych nawet licencje, jeśli nie będzie im towarzyszył rozwój rodmaję myśli konstrukcyjnej. Licencje wymagają też stałej troski — stałych udoskonalenia, poprawek, nowych rozwiązań. A to są już problemy interesujące cały przemysł włókienniczy, bo kłopoty „bawełny” są przykładowe — nieobce całemu przemysłowi lekkiemu, którego stolicą ma zaszczyt nazywać się Łódź.

Z wędrówek po Mongolii

Przed kilkudziesięciu laty religią panującą w Mongolii był lamaizm. Do przeszło pięćset klasztorów należał prawie cały kraj. Ludność świecka, pasterze zwani aratami, obowiązanymi byli do utrzymywania kilkuset tysięcy zakonników. Co najmniej jeden syn z każdej rodziny musiał wstąpić do klasztoru, któremu pozostali krewni oddawali większość produktów swojej pracy. Powstało, podobnie jak w Tybecie, państwo kościelne kierowane przez hierarchię zakonną i niezliczonych feudałów. Kierownikiem życia Mongolii stał się Bogdo-Gegon, sprawu-

jący równocześnie funkcję drugiego po Pan-czem-Lamie zastępcy Dalaj-Lamy.

Na początku XX wieku rozkład Cesarstwa Chińskiego stał się szansą na wyzwolenie narodu trzymanego przez blisko trzy wieki pod zaborem chińskim. Możliwością, dążąc do zachowania dotychczasowej pozycji, ogłosili częściową autonomię Mongolii, przyjmując chińskie gwarancje utrzymania dotychczasowego porządku społecznego. Po kilkuletnich walkach wyzwoleniczych ogłoszono w 1921 r. utworzenie socjalistycznego państwa mongolskiego, zachowującego jednakże formę monarchii konstytucyjnej z władcą bogdy-chanem — świętym chanem i rządem rewolucyjnym na czele.

W kraju działało około dwu tysięcy zagranicznych firm handlowych, obowiązywała państwowa, klasztorzy były nadal największym posiadaczem. Odpowiednikiem naszego Ministerstwa przemysłu — Centralną Spółdzielnią Ludową kierował jeden z księży — a król był jej głównym udziałowcem. Do połowy lat trzydziestych historia Mongolii to ciągle utarczki, walki podjazdowe, kilkakrotne bunty inspirowane niejednokrotnie przez Chiny. W latach czterdziestych część kraju zajęli Japończycy. Początki industrializacji i budowy nowoczesnego państwa mają za sobą bardzo niedawne tradycje.

Większość zakładów przemysłowych, rolnictwo i ośrodki naukowe mają za sobą tradycje niespełna dwudziestoletnie. Ciągłe jeszcze wzory dawnego stylu życia dają okazje do konfrontacji przeszłości z nowoczesnością, dostarczają przybyszowi niecodziennych wrażeń.

Pierwsze zdziwienie na lotnisku. Szerokie pasy startowe przystosowane do przyjmowania największych odrzutowców, rzędem ustawione turbośmigłowe i małe samoloty budunek przypominający stację kolejową w powiatowym miasteczku.

Większość Mongołów to mieszkańcy stepu. Sprawują oni coś w rodzaju opieki nad olbrzymimi stadami, które ze względu na swą wielkość nie poddają się żadnej racjonalnej kontroli. Wykorzystanie zwierząt, ilość sztuk przeznaczonych do dalszej hodowli, uzależnione jest od warunków klimatycznych. Surowość zimy, susza lub deszcz decydują o wszystkim. Troska o paszę przez cały rok spoczywa na naturze. Typ człowieka, jaki ukształtował się w tych warunkach, niełatwo wdraża się w tryby nowoczesnego społeczeństwa; obowiązek, termin, odpowiedzialność są często dla niego tylko pustym dźwiękiem.

Nowe fabryki, szkoły, szpitale potrzebują pracowników. Trwa więc ciągła wędrówka ze stepu do miasta. Pasterz ma stać się z

dnia na dzień robotnikiem przemysłowym. I tu powstaje szereg konfliktów. Wielokrotnie większa niż w Polsce płynność zatorów utrudnia pracę. Jeszcze większym problemem jest wdrożenie nowo przyjętych pracowników do stałego rytmu pracy. Dla wielu konieczność regularnego przychodzenia do pracy jest niezrozumiała. Dlaczego miałby stać przy maszynie akurat osiem godzin i to bez prawa odejścia na chwilę, porozmawiania? Pasterz przechodzi długi okres „wychowania przemysłowego”, zanim może zostać przyjęty do fabryki. Nowych przybyszów kieruje się głównie do budownictwa. Rytm pracy odgrywa tutaj niewielką rolę. Ale też na stu zatrudnionych jednego dnia zgłasza się niecała połowa, a drugiego wszyscy.

Jednym z zadań wysłanych do Mongolii zagranicznych grup pracowniczych jest właśnie praktyczny pokaz rzetelnej, porządkowej pracy.

Praca na budowie, obserwacja wykształconych już fachowców jest jednym z etapów nauki. Spotkałem kilkakrotnie inżynierów, którzy przed dwudziestu laty rozpoczęli pracę jako niewykwalifikowani robotnicy i dzięki ciągłej nauce pracują dziś w najnowocześniejszych zakładach przemysłowych. Cechą pracowników mongolskich

Dwadzieścia lat

zespołu

„Harnama”

Dalszy ciąg ze str. 1

pod czujnym okiem pani Hryniewieckiej, tańczyły już całkiem nieźle i zaczęły brać udział w przedstawieniach zakładowego teatru amatorskiego. Dziewczyny szybko rozwijały swe uzdolnienia baletowe, tańczyły lepiej i wszystko było na najlepszej drodze. Ale...

— Ale — opowiada pani Szkudlarek — nasz teatr też się rozwijał i wpłynęło nowe zamówienie społeczne: stworzyć zespół chłopców. Pięknie. Więc znów apel do rodziców — pracowników naszych zakładów — tym razem o dostarczenie kilku mężczyzn w wieku lat siedmiu do zespołu chłopięcego. Udało się. Chłopcy byli dobrze rozwinięci fizycznie, zdolni, pojętni, pracowici. Tylko zupełnie nieprzewidywany mankament — wstydził się tańczyć. Uważali, że w żadnym wypadku nie dla chłopców. Po wielu mozolnych i skomplikowanych manewrach pedagogicznych udało nam się ich przekonać, że nie mają racji...

Dalej poszło już wszystko gładko. Skompletowany zespół chłopcy szybko nabierali wprawy tańczej. Tylko długo jeszcze ten i ów „sztywny”, jakby z przymrużeniem, nie akceptował tańca. Widocznie „męska natura”. Tymczasem dziewczyny tańczyły bardzo dobrze. Od czasu do czasu parę dziewcząt łączyła oba zespoły w jeden. W ten sposób udało się jednoliwnie kształtować zespół. Tańczyli z sercem i zapałem, chociaż nie mieli doświadczenia, choć na pewno

W roku 1949. Zespół dziewczęcy wyjeżdża do Czechosłowacji, gdzie prezentuje polskie tańce regionalne w tamtejszych ośrodkach wiośniennych. Jest to pierwszy zagraniczny występ zespołu „Harnama”, uwieczniony pełnym sukcesem.

Po powrocie do Łodzi następuje trwałe połączenie obu zespołów. Dziewczyny tańczą znakomicie, zresztą mają już za sobą występ zagraniczny, ha, więc są „ważniejszą” od chłopców, więc chłopcy niechętnie z nimi tańczą i znów są sztywni, jak z kartonu. Oj, ci mężczyźni! Wszakże powoli wszystko trafia na swoje miejsce, mechanizm całego zespołu funkcjonuje coraz sprawniej, dociera się nabiera obrotów. W roku 1949 zespół dość często występował przed publicznością, podoba się. Wkrótce stanie się sławny nie tylko w Polsce, lecz również za granicą. Jednak nie uprzedzamy faktów.

Występy w NRD w roku 1950 rozpoczynają długą listę zagranicznych wojaży zespołu. W kwietniu 1951 roku tournée w Austrii, a w sierpniu tegoż roku występy na III Światowym Festiwalu Młodzieży w Berlinie i brązowy medal w konkursie. W kwietniu 1954 roku — IV SFM w Bukareszcie i znów trzecie miejsce w konkursie tańca. W tymże roku występ na galowym koncercie z okazji V rocznicy powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Rok 1955 roku — Festiwal Młodzieży w Warszawie. W następnym roku liczne występy wyłącznie w kraju. Ale już w roku 1957 zespół wyjeżdża do Francji, na Festiwal Folkloru w Nicei i Cannes. Zdobywa tam wyróżnienie: Palmę Lazurowego Wybrzeża. W roku 1958 pokazuje polskie tańce ludowe na Sycylii, na Festiwalu Kwitnących Migdałów. W 1959 roku zespół „Harnama” odbywa tournée w północnej Francji. W roku 1960 — tournée w NRD i występy we Wrocławiu, a 1961 — znów Włochy, Festiwal w Wenecji, w 1962 — Belgia i NRD, w 1963 — Francja i tournée azjatyckie: Wietnam i Chiny, w 1964 — występy w Mongolii, Związku Radzieckim, Francji i Szwajcarii, w 1965

— koncerty w NRD, i wreszcie w 1966 roku występy w Belgii, na Festiwalu w Ostendzie i Antwerpii. Zespół jest znakomity i odnosi liczne sukcesy. A w roku 1967? Dalsze i liczne zaproszenia na występy w kraju i za granicą. Aż 52 zaproszenia!

Na przestrzeni minionych lat dwudziestu zespół się rozrastał, doskonalił. A że czas przecież leci, niegdyś kilkuletnie dziewczynki przemieniały się w uroczę panny, zaś chłopcom wąż synpął się gęsty. Dział Reprezentacyjny Zespół Tańca liczy 51 osób, stanowi żyty, zwarty kolektyw młodych ludzi, rozmówianych w tańcu i muzyce, zespół amatorski, w całym tego słowa znaczeniu, bez taryf ulgowych w pracy zawodowej. Tańczą w nim wyłącznie pracownicy łódzkich zakładów pracy, podległych Zw. Zaw. Włóknarzy. Tańczy tu student i ślusarz, magister inżynier i tkacz, ceroxawczka i inżynier chemik, technik i uczeń szkoły zawodowej, przedszkolanka i лаборant. Tańczą od kilku i kilkunastu lat. Zespół jest zawsze w pełnej gotowości do występu, na każde zamówienie społeczne. Ma jednak szacunek dla widza ze wsi, z powiatu, czy z miasta. Jest to niezmiernie rzadko spotykany stosunek do widza. Ten i ów członek zespołu pracuje na trzeciej zmianie, ale to bynajmniej nie zwalnia go od obowiązku przystąpienia do pracy o godzinie szóstej rano, nawet gdy występ kończy się w nocy. Tu nie ma tragarzy. Gdy trzeba jechać na występ wszyscy pakują rekwiizyty, wszyscy je taszczą do autokarów, sami ładują, sami rozładują, przenoszą, czyszcza, naprawiają. Nie ma w tym względzie wyjątku ani dla pani Marii Szkudlarek — kierowniczkę ZDK i garderobianej zespołu w jednej osobie, ani dla pana Andrzeja Klinowskiego — zastępcę kier., ani dla p. Janusza Tomczaka — pracownika ZDK, ani dla pani Zofii Grzesik, pracowniarki działu zatrudnienia i placzy zakładów, która już od kilkunastu lat, z własnej i nieprzymuszanej woli po zakończeniu zajęć biurowych o piętnastej trzydziści łączy się z poświęceniem do pracy w ZDK. Zwolnień od zajęć zawodowych udziela się członkom zespołu wyłącznie w ramach obowiązujących przepisów. Ani za wyjazdy na występy, ani za godziny nadliczbowe zespół diet nie otrzymuje. Wyjazdy na występy zagraniczne odbywają się w ramach urlopów wypoczynkowych lub bezpłatnych.

Do roku 1961 zespół dotował zakład pracy. Dziewczeta same haftowały kostiumy, dla siebie i chłopców, same kroili, szyły i przerabiałały. Wykonały w ten sposób dziewięćdziesiąt procent kostiumów dla zespołu! Gdy zespół rozrósł się i zakład nie mógł go już finansować, Zarząd Główny Zw. Zaw. Włóknarzy podniósł go do rangi Reprezentacyjnego Zespołu Tańca Zw. Zaw. Włóknarzy przy ZPB im. Harnama i udzielił mu odpowiednich dotacji. Zakład świadczy wyłącznie na kostiumy.

Zespół „Harnama” występował również w filmach: „Oberek”, „Zołnierz zwycięstwa”, „Przygoda na Mariensztacie”, „Niedaleko Warszawy”, w filmie polsko-fińskim „Noc posłubna” i oczywiście w „Popiołach”. Poza tym w telewizji polskiej, francuskiej, NRD, belgijskiej i włoskiej. W Polsce wystąpił w 78 miejscowościach, dając rocznie około stu spektakli. W roku 66 dał w kraju 131 dwugodzinnych koncertów. Repertuar obejmuje 34 folklorystyczne tańce polskie i jest tak ogromny, iż zaprezentowanie go w całości musiałoby trwać, bez przerwy, około 16 godzin. Gdyby wszystkie zespoły tańca i muzyki Zakładowego Domu Kultury przy ZPB imieniem Harnama zechciały pokazać swoje repertuary jeden po drugim, nie starczyłoby na to czterech dni! Wypada jeszcze dodać, iż Reprezentacyjny Zespół Tańca „Harnama” stoi w czołówce zespołów amatorskich w Polsce. Ze 14 członków tego zespołu przeszło swego czasu do „Mazowsza”, gdy ten zespół organizował się dopiero, że kilka osób z zespołu tańczy do dziś w baletach Teatru Wielkiego w Łodzi i Teatru Wielkiego w Warszawie.

Dwadzieścia lat pracy i sukcesów, ani jednej depresji, ani jednego wstrząsu, który by obniżył artystyczny poziom zespołu. Wprost przeciwnie — nieustanny rozwój, wciąż w górę. Dlaczego? Składa się na to z pewnością wiele elementów — długoletnia wspólna praca, życie się, zdrowe ambicje, wysoki poziom choreograficzny, który przyciąga młodzież jak magnes, troskliwa opieka władz, pomoc komitetu partyjnego zakładów, dyrekcji, rady zakładowej,

nić każdemu dziecku stałą naukę. Wybudowano przeszło pół tysiąca szkół średnich i podstawowych. Zimą jednak i tak niemożliwe jest, aby dziecko codziennie przejeżdżało kilkadziesiąt kilometrów w drodze do szkoły. Dlatego przez dużą część roku młodzież mieszka w internatach. Rozbudowane zaplecze gospodarcze szkół zapewnia każdemu potrzebującemu całkowite utrzymanie na koszt państwa. Olbrzymi odsetek studentów korzysta z domów akademickich, stółków i innych form pomocy. Wiele też osób kieruje się do dalszej nauki za granicę — rokrocznie odbywają się dostępną dla każdego maturzysty egzaminy kwalifikujące na wyjazd do uczelni ZSRR, Polski oraz Węgier.

Olbrzymie koszty na finansowanie szkolnictwa pokrywa się dzięki wysokiemu dochodowi narodowemu. Przeciwny dochód na głowę mieszkańca jest większy niż w niejednym państwie europejskim, plasując Mongolii w czołówce Azji. Jednakże nawet duże środki mogą pokryć jedynie znikomą część potrzeb kraju. Zaledwie milion ludzi musi zagospodarować teren pięciokrotnie większy od Polski. Nowe ośrodki przemysłowe lokalizowane w pobliżu złóż bogactw naturalnych, oddalone są od stolicy o tysiące kilometrów. Potrzebne są więc tysiące kilometrów torów i dróg. Rolnictwo, nie po-



całej załogi, dobry klimat, trud łączenia pracy artystycznej i zawodowej, który ukształtował postawy ludzi, mroźcza praca aktywno kulturalnego zakładów, troska o utrzymanie dorobku artystycznego i jeszcze wiele innych. Na pewno. Wydaje się jednak, iż centralną rolę odgrywa szeroka baza, na której zespół mógł się zorganizować i rozwinąć skrzydła do tak wysokiego lotu. Więc żywe tężno pracy kulturalno-oświatowej w Zakładowym Domu Kultury przy ZPB im. Harnama, a sięgając jeszcze głębiej — całkiem nowe stosunki społeczne, które stworzyły warunki do tak dynamicznego i wszechstronnego rozwoju działalności kulturalnej w naszym kraju. Dlatego, wydaje mi się, iż mówiąc o artystycznym dorobku i sukcesach zespołu, nie można pominąć bar dzo poważnych osiągnięć ZDK w pracy kulturalno-oświatowej, skąd przecież zespół czerpie swe siły witalne.

W ZDK działa aż osiemnaście przeróżnych zespołów artystycznych, łącznie — 911 osób. Jeśli dodać do tego aktywne zaangażowanie w pracę kulturalną około 200 członków klubu merytów, otrzymuje imponującą liczbę tysięcy stu jedenastu osób w wieku od 6 do 70 lat! I jeśli pan magister Andrzej Klinowski, zastępca kierownika ZDK, i zresztą członek zespołu tańca, mówi mi, że Dom dosłownie pęka w szwach, nie mogąc pomieścić wszystkich garnących się do zespołów, kół i kółek, to nie ma w tym cienia przesady. Pomieszczenia są wykorzystane do maksimum w czasie i w przestrzeni. Wciąż coś się tu dzieje, w piątek i świątek, od dziewiątej rano do dziesiątej wieczorem. Więc dziecięca grupa tańczeniowa — 360 dzieci, dalej, sześćdziesięciosobowa, młodzieżowa grupa zespołu przygotowawczego. Nastolatki mają własny repertuar i są rezerwuarem, z którego Zespół Reprezentacyjny czerpie narybek artystyczny. Następnie Zespół Reprezentacyjny — 51 osób. Zespół akordeonistów — 140 osób, orkiestra młodzieżowa — 35 osób, 9-osobowa kapela, dalej, 44-osobowy zespół gitarzystów, sekcja wokalna i zespół estradowy, które działają w klubie „Karolek” przy ul. Łąkowej, w jednym z oddziałów ZPB im. Harnama, 24-osobowa orkiestra dęta. A poza tym: dwa kursy języków obcych, łącznie 57 słuchaczy, kółka plastyki, kółka fotoamatörów i inne. A przecież jeszcze ożywiona działalność oświatowa: w każdy poniedziałek odczyty, nieraz cykle odczytów, w każda niedzielę filmy fabularne i oświatowe. Jeszcze biblioteka zakładowa z 14 tysiącami tomów i 2 tysiącami książek technicznych. Ale to też jeszcze nie wszystko, gdyż w ZDK trzech nauczycieli udziela korepetycji uczniom, mającym słabe wyniki w nauce. Rezultaty znakomite — liczba zmniejsza się bardzo wydatnie.

— Jeśli chodzi o dzieci — odpowiada na moje pytanie pan Klinowski — to obok

dzieci pracowników „Harnama”, mamy też w sekcjach i grupach dzieci z okolicznych domów na Bałutach. Staramy się sięgać do dzieci i młodzieży, znajdujących się w możliwie największym promieniu oddziaływania naszego ZDK. Nie tylko uczymy je rysunku, tańca, czy gry na skrzypcach lub gitarze, lecz również odciągamy je od pokus ulicy. Chcemy wyrobić w nich smak artystyczny, przygotować przyszłych konsumentów dóbr kulturalnych do właściwej percepcji zjawisk kulturalnych. Śmiem twierdzić, iż jest to praca z perspektywą.

— Podczas konferencji prasowej wspominał Pan o młodych choreografach. Czy...

— Tak. Mamy ich troje: Irena Kik — jest choreografem zespołu dziecięcego, Władysław Lewandowski jest asystentem choreografa i Sławomir Mazurkiewicz, który prowadzi trzy grupy dziecięce. Wszyscy troje zaczęli od zespołu dziecięcego i tańca do dziś w Zespole Reprezentacyjnym.

— Kto akompaniuje Zespółowi?

— Dwieciuosobowa kapela pod kierunkiem pana Bogdana Kotnowskiego. Kapela ma własny repertuar muzyczny i może występować bez zespołu. Ostatnio kapela koncertowała w Austrii. Akompaniatorem zespołu Reprezentacyjnego jest również pani Maria Wahlman. Pracuje z zespołem od początku, od 1947 roku.

— Plany?

— Pragniemy stworzyć i rozwinąć sekcję literacką i dalsze sekcje baletowe. Mamy również szereg innych zamierzeń, ale dziś za wcześnie jeszcze byłoby o tym mówić.

Za wybitne osiągnięcia artystyczne Reprezentacyjny Zespół Tańca Zw. Zaw. Włóknarzy przy ZPB im. Harnama został odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II klasy, Honorową Odznaką m. Łodzi, Odznaką Zasłużonego Działacza Zw. Zaw. Włóknarzy, oraz Złotą Odznaką Odbudowy Stolicy. Zespół odznaczony jest również Orderem Sztandaru Pracy I klasy Wietnamskiej Republiki Demokratycznej. Zdobył liczne medale i wyróżnienia zagranicą.

W sobotę, 25 listopada br., z okazji 20-lecia działalności Reprezentacyjnego Zespołu Tańca Związku Włóknarzy przy ZPB im. Harnama w Teatrze Wielkim odbył się galowy koncert, na którym Zespół „Harnama” zaprezentował najwybitniejsze pozycje swego repertuaru. W przerwie koncertu, członek Biura Politycznego, przewodniczący CRZZ — Ignacy Loga-Sowiński udekorował Zespół „Harnama” Orderem Sztandaru Pracy I klasy. Po koncercie, w Domu Weznowym „Przańszka” w Arturówku, odbyła się uroczysta dekoracja odznaczonych państwowych członków Zespołu oraz osób zasłużonych dla jego rozwoju.

Miłym naszym sercu „Harnamowcom” redakcja „ODGŁOSÓW” składa serdeczne gratulacje i życzy wielu dalszych sukcesów w pracy artystycznej.

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

jest ich wielki zapał, uzdolnienia, chęć łączenia każdej pracy z nauką.

Wyobraźmy sobie, że znaleźliśmy się w mieście większym od Białegostoku, nie dorównującym jednak Lublinowi. Ulan-Bator, jako miasto w pojęciu europejskim jest mniejsze niż wskazywałaby na to liczba jego mieszkańców. Brak przedmieść, domków jednorodzinnych, ogrodów. Są tylko kilkupiętrowe bloki. Nic dziwnego, że godzinna przechadzka wystarcza na obejrzenie centrum.

Jeżeli wyruszymy spod Centralnego Domu Towarowego, w kilka minut później dojdziemy do białej kolumnady ciągnącej się przez kilkadziesiąt metrów budynku. To siedziba założonego w 1942 r. Uniwersytetu im. Czojbalana. Wykłada się tutaj języki, historię, geografę, ekonomię polityczną. Zaraz dalej mijamy Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Jeszcze dalej uczelnie artystyczne, wśród nich szczególnie sławna Akademia Plastyczna. Gdzieś blisko mieszczą się gmachy kierunków politechnicznych i medycznych. Jest to silny ośrodek naukowy.

Budowa szkolnictwa wyższego była jednak łatwiejszym zadaniem od organizacji szkolnictwa na szczeblu średnim i podstawowym. Większość ludności wędruje po liczącym tysiące kilometrów stepie. Jak więc zapew-

siadające właściwie żadnych tradycji, zajmujące setki tysięcy hektarów urodzajnej, lecz leżącej przedtem odłogiem ziemi. Trzeba opanowywać rzeki, nawadniać step, sprządać kombajny i traktory. Milionowe stada mogłyby zapewnić nieskończone ilości mięsa, skóry, wełny — brak jednak fabryk mogących przerobić to, co obecnie bezużytecznie się marnuje. Milion ludzi nie jest w stanie zrealizować wszystkich zadań. I dopiero tutaj możemy przekonać się na czym polega rola Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Kraje socjalistyczne, wśród nich w znacznej mierze Polska, pomagają w budowie zaplecza gospodarczego, ułatwiają wykorzystanie surowców.

Spotkałem wiele śladów tej współpracy. Niejedną fabrykę czy gmach wybudowali nasi fachowcy. W stolicy i na stepie przebywają zespoły Rosjan, Polaków czy Czechów. Widzi się nagle kilka namiotów, samochody. Jest to jeden z postojów grupy weterynaryjnej wędrującej po kraju. Gdzie indziej, w solidniejszych już budynkach mieszkają specjaliści budujący zakład przemysłowy lub elektrownię. Są nawet miasteczka — siedziba kilkuset fachowców budujących wielki kombinat. Wśród wielu cudzoziemców Polacy cieszą się dobrą i zasłużoną opinią.

Szybkie uprzemysłowienie wpływa na ży-

cie społeczeństwa, zmienia jego wartości, potrzeby, organizację czasu wolnego. Widać to w codziennej obserwacji życia mieszkańców stolicy.

Jednostka monetarna turyk, zgodnie z relacją banku PKO warta jest około pięciu złotych. Jednakże niekiedy jego siła nabywcza zbliża się do złotych, niekiedy większa jest przeszło dziesięciokrotnie. Podstawowe produkty żywnościowe, lekarstwa, odzież otrzymujemy po cenach stawiających relacje jak jeden do siedmiu. Jeszcze tańsze są książki, artykuły szkolne. Stosunkowo tanie są motocykle, broń, skórzana odzież i cały sprzęt stepowy. Im bardziej luksusową nabywamy żywność czy odzież, w tym większym stopniu turyk równa się złotówce. Przy zakupie zegarka, radia — ma on jeszcze dwa razy większą siłę nabywczą. Artykuły artystyczne, głównie radzieckie i chińskie są już droższe niż w Polsce. Często cena w turykach równa się ilości złotych, które należałoby zapłacić w „Desie” czy „Jubilerze”. Kogo stać na trwałe zakupy, ten więcej płaci w porównaniu z rzeczywistą wartością towaru. Im więcej ma się nadwyżek, w tym większym stopniu trzeba się przyczynić do inwestowania w przemysł.

Płot

Pochylony we mnie nad jabłonią od zorzy
z nitkami powoju na plecach
z kwiatuskami pachnącym białą pod pachami mchu
był moją wieżą Eiffla
stąd wyruszyłem na morze z papierówkami snów
zaglełem kwitnącej gałęzi drąc chmury
Zjedliśmy razem beczkę soli
drzewa rozdziły w naszej obecności i zdychały
patrzyliśmy tymi samymi oczami na wesele i pogrzeb
mieliśmy jedną matkę i jednego Boga, który ślał z nami
i słuchał żelaznych świerszczy wojny

Świnia

Świnie dźwigałem z osmolonymi kopytkami
jak mój głód wojenny
a byłem chłopcem szczupłym jak różga
choć matka dmuchała w słabą iskrę
dlatego za mały na to dźwiganie ogromne
i w śniegu jak ogromny opłatek
u siostr wybijany żelaznym otworem
szczecina tarła niebo
miałem świnie dla noża rozdarta
z płonącymi w palcach gromnicami żeber

Sen

Przyszła staw
z kamieniem ciśniętym na dno
z rybą starą i ślepą
z kłębkiem zepsutego drutu

Przenosiłem wodę
Siwy muł zakaszłał
Szkielet kota
ze sznurem
Kamień pokasany
Jedna na drugą
powalone jabłonie.

Na brzegu chłopiec
ściąga przez głowę
niebieskie niebo
uśmiecha się patrzy

MINIATURY

Wycieczka

Kilkudziesięciosobowa wycieczka — pante na szpilkach, panowie w koszulach non iron — wdrapała się zdyszana na przełęcz. Prze wodnik terkotał jak karabin maszynowy.

— W te strony zaglądał bandyci groźnego watażki Podhala — Ognia. Ludzie Ognia rekrutujący się głównie z elementów wykończonych i zdegenerowanych mordowali nie tylko przedstawicieli władzy ludowej, ale i okoliczną ludność. Przed dwudziestu laty na dźwięk tego imienia ludzie zamierali z przerażenia... Za chwilę wejdziemy w las iglasty, wysokopienny...

Na straju lasu stała tablica z czerwonym napisem: „Strzeż się ognia”.

— Proszę pogasić papierosy — powiedział przewodnik.

Wycieczka z wesołym gwarem zanurzyła się w gęstwinie.

Piwo

Od rana roznosiło mnie zdenerwowanie. Coś się tłukło wewnątrz, jakaś irytująca galareta wypełniająca całe ciało, kolebała się we mnie. Wypaliłem paczkę papierosów, potem grzełem zapalki. Chodziłem z kąta w kąt po wynajętym pokoiku. Dwa razy się przebrałem, ubranie także mnie irytowało — przebiegłem szybkim krokiem z jednego krańca zdrowiska na drugi. Poszedłem nad rzekę, potem ścieżką pod lasem. Galareta kolebała się nadal.

Było we mnie jakieś oczekiwanie, niecierpliwość i nerwowy niepokój. A tu dzień był idealnie leniwy, senny, pełen słońca i ciszy.

Wszedłem do baru. Stary góral stał przed konturem nad niedopitym kuflem.

— Czegoś mi było brak — powiedział do barmanki — a nie wiedziałem, że piwa...

Włec i on miał swój niepokój, rozklekotaną galaretkę i niejasne poczucie niespełnienia. Ale on był szczęśliwy — znalazł swoje piwo. A ja? Gdzie jest moje piwo i jaki ma smak?

Święto Kobiet

W kwiatarniach wykupiono wszystkie goździki i cyklameny. Ulicami paradowały kobiety z bukietami w szeleszczących celofanach. Panowie uśmiechali się i dyrektorzy całowali pracownice w rękę.

Na trzecim piętrze w poprzecznej oficynie dwie emerytki czczyły święto słodką wódką. Meżowie dawno pomarli — odwiedzał je z biurokratyczną regularnością raz w miesiącu ten sam mężczyzna — listonosz. Dwie emerytki śpiewały piosenkę:

„Pod drzwiami stój
Aniele — mężu mój.
Tu jest kolega twój
— kochanek mój”

Piosenka niespełnionych marzeń — śmieszne słowa i prosta melodia. Smutna piosenka wieku dojrzałego.



M. Stibor (CSRS)

Czy tylko galeria?

Dalszy ciąg ze str. 1

rów itd. Ale na to też nie ma miejsca. Giedy, które odbywają się w Hali Sportowej są imprezą raczej żalosną. Stąd nasuwa się prosty wniosek: gdyby Ministerstwo Przemysłu Lekkiego żywiło przecież zainteresowanie, zechciało partycypować pospół z Ministerstwem Kultury i Sztuki w budowie galerii, to realizacja przedsięwzięcia przestałaby być problemem nie do zrealizowania.

T. ROMAN — Zaraz po wojnie Ośrodek Propagandy Sztuki, w Parku Sienkiewicza wystarczał jako galeria, ale z biegiem czasu stawał się coraz ciasniejszy a dziś dotkliwie odczuwamy brak lokalu większego i bardziej nowoczesnego. Nie mówię już, że ominęło nas wiele wystaw o zasięgu międzynarodowym jak francuska meksykańska czy włoska ale nie mogliśmy zorganizować wielu ekspozycji o zasięgu ogólnonośkim. Proponuję nieraz wystawę kłóremuś z bardziej znanych artystów pozalódzkich, zawsze godzi się chętnie, ale tylko do momentu zapoznania się z warunkami naszej galerii i jej oświetleniem. Ja niejednokrotnie już proponowałem, by duże zakłady pracy partycypowały w budowie galerii sztuki by stworzyć jakiś wspólny ośrodek, w którym będą ekspozycje również zakłady włókiennicze czy

inne. Przecież i w Parku Sienkiewicza ekspozycje nieraz tkaniny.

ODGŁOSY — Słyszysz się teraz, że Teatr Wielki mógłby się stać galerią sztuki i wobec tego budowa nowego ośrodka jest zbędna.

B. LIBERSKI — Oczywiście można i trzeba robić wystawy w teatrach, to jest potrzebne i pożyteczne, ale nie załatwia sprawy galerii. Miasto powinno mieć więcej miejsc, w których można by ekspozycje małe zestawy, by społeczeństwo miało okazję stykać się z dziełami plastycznymi na co dzień. Ale to zupełnie inna sprawa. Nam chodzi w tej chwili o wystawy duże problemowe, wymagające pomieszczenia z dużym zapleczem.

Ważny dla przykładu choćby tylko sprawy lokalne. Nasz Zarząd organizuje w Łodzi konkursy. Wystawy półkonkursowe są zazwyczaj imprezami naciekawszymi bo jest rzeczą ludzką, że artysta zostawia na konkurs swoje najlepsze prace. Na konkurs malarski napływa zazwyczaj 100-150 prac i zgodnie z regulaminem wszystkie powinny być wystawione. Tymczasem to, co się dzieje w galerii kiedy trzeba ekspozycje 150 prac, zaprzeczają wszelkim prawom ekspozycji. Obrazy wiszą słożone jeden obok drugiego, w trzech rzędach, w dodatku w złym oświetleniu. Od 1945 roku łódzkie środowisko plastyczne powiększyło się trzykrotnie, a więc i trzykrotnie wzrosła liczba ewentualnych wystawców. A pomieszczenie wciąż jest to samo.

T. TELMA — Być może, że pod względem ilościowym z wystawnictwem łódzkim nie jest źle, ale na pewno jest źle pod względem jakości. Wobec braku lokalu z prawdziwego zdarzenia wszystkie łódzkie wystawy od dłuższego czasu są albo wystawami lokalnymi, albo drobnymi z zewnątrz, nie wnoszącymi żadnych istotnych wartości do życia plastycznego w mieście.

Dlatego pierwszym i podstawowym postulatem jest budowa galerii w której można by umieścić każdą dobrą wystawę ogólnopolską i zagraniczną. Dopóki ten warunek nie zostanie spełniony, ograniczać się będziemy do drobnych wystawek lokalnych.

Druga sprawa to propaganda. Z prawdziwym przerażeniem obserwuję, że trzy dzienniki łódzkie co najwyżej niewielkim wzruszeniem odnotowują wydarzenia życia plastycznego miasta. Nie ma recenzji omówień nie ma nikogo, kto by podejmował polemiki na te tematy. W żadnym z dzienników nie zauważyłem w tym roku ani jednego artykułu ujmującego problemowo te zagadnienia.

I jeszcze jedno. Padło tu pytanie o możliwości wystawiennicze w Teatrze Wielkim. Wydział Kultury zwrócił się do nas o zagospodarowanie tego teatru, i okazało się, że tylko jedna z bocznych sal, nadaje się do ekspozycji obrazów. Główny hall, najbardziej może reprezentacyjny odpada bo w czasie przerwy panuje tam ogromny tłok i nie ma warunków do kontemplowania dzieł plastycznych. W tej bocznej sali można powiesić około 40 obrazów, ale do tego konieczne jest wmontowanie stałego stelażu do zawieszania ram. Nie chce wykonać tego Teatr Wielki, zwróciliśmy się w tej sprawie do Wydziału Kultury i wszystko utknęło na martwym punkcie. Nie można w tym mieście znaleźć mecenasa który by dał 20 tysięcy zł na stelaż.

R. STANISŁAWSKI — Jestem łodzianinem co prawda dopiero od dwóch lat, łodzianinem z wyboru, a wybór mój był podjętowany unikatowym w Polsce charakterem łódzkiego Muzeum Sztuki i możliwościami pracy jakie stwarza tutaj sztuka sztuki międzynarodowej. Na temat lokalnych wystawowych mogę powiedzieć tylko to, co i moi przedmówcy. Lokale takie — dobrze

wyekwipowane galerie — praktycznie nie istnieją i jedyny wniosek to ten, że powinny one powstać. W obecnej sytuacji nie ma szans sprowadzenia do Łodzi większej wystawy o charakterze międzynarodowym choćby dlatego, że sala w Parku Sienkiewicza nie odpowiada nawet podstawowym normom bezpieczeństwa. Wystawy niejednokrotnie gromadzą dzieła, wysoko ubezpieczone, co wymaga spełnienia związanych z tym warunków. W gruncie rzeczy nawet w Muzeum nie dysponujemy odpowiednimi salami wystawowymi. Miejsce ekspozycji wystaw czasowych to właściwie „na siłę” wygospodarowane dwa pomieszczenia, zaadaptowane na sale wystawowe, gdzie można ekspozycje jedynie zestawy małe. W efekcie sytuacja jest dość paradoksalna. Istnieje w Łodzi ciekawe, prężne środowisko plastyczne, ale prace jego przedstawicieli oglądać można częściowo w Warszawie lub za granicą, niż w naszym mieście, gdzie od dwóch lat nie widziałem pokazu, który by ten bezsporny fakt potwierdzał.

Zastanawiałem się dlaczego nie ma w Łodzi odpowiednich sal wystawowych. Są przecież w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Gdańsku... Odpowiedź nasuwa mi się dość jednoznaczna. W Łodzi nie ma wystarczającego oddźwięku na twórczość i działalność plastyczną a to przede wszystkim na skutek braku krytyki i publicystyki plastycznej. Dla przykładu: mimo dużych trudności udało się nam uzyskać dla Łodzi wystawę Grupy N z Włoch. Zainteresowanie ekspozycją społeczeństwa łódzkiego, szczególnie młodzieży, było duże, mogło być oczywiście większe. Prasa centralna opublikowała szerokie omówienia, natomiast u nas nie ukazała się ani jedna recenzja. Na otwarcie ciekawych wystaw przyjeżdżają do nas krytycy a nawet i plastycy z Warszawy, Krakowa, Gdańska, Wrocławia, Lublina czy Koszalina, i piszą

Parada przy ulicy głównej

W każdym mieście jest główna ulica. W każdym mieście jest ta jedna, jedyna ulica najważniejsza, którą wszyscy znają, którą wszyscy kochają, bo to jest ulica-honor, ulica — wizytówka, ulica najwyższego hotelu, najwspanialszej knajpy i największego kina. O ile po bocznych, mniej ważnych ulicach możesz czekać z koszulą na wierzchu, w rozkwydionych włosach i w miłej kapocie, to na ulicę główną wchodzi się w pełnym szyku, jak do teatru.

Pytam się siebie:
— Która w naszym mieście jest ta najważniejsza?

- Mówisz:
- Piotrkowska,
 - Co jest na Piotrkowskiej?
 - Jest Grand Hotel i Klub Studenta, jest „Polonia” — kino i kawiarnia „Łodzianka”.
 - Co jeszcze?
 - Są szyny, po których nie jeżdżą tramwaje, i deptak na ciastym chodniku. I pijalnia piwa, o której pisało, czarna jak przedświatło piekielne.
 - Jeszcze!
 - Ale kiedy: rano, czy o zmroku?
 - O zmroku.
 - O zmroku kiedy przyświecają neony, tuka się po bramach prostytutki. Tak?
 - Tak.

Podobno już u ludów pierwotnych były początki prostytucji. Pan domu, o ile podejmował gości a chciał dopełnić miary gościnności o ile miał żonę, córkę lub służącą... to niech go trafi szlag! Uprawiano też prostytucję świątynną, połączone z kultem jakiegoś bóstwa, np.: Izstar w Babilonie i Astarte w Syrii. Polegało to na tym, że każda kobieta, raz do roku, bezpłatnie lub za pieniądze, służyła bogom.

Tym draniem, który wprowadził prostytucję do życia świeckiego, był Solon; założył w Atenach dikterion zatrudnione niewolnicami. Dalej już poszło: u Rzymian pańszcowa i prywatne domy rozpusty (także pierwsze prostytutki wolnej tzw. Meretrix); w Chinach kwiatarki sprzedawane do „nie-

bieskich domów”, w Japonii gojsze skupione przy herbarciarniach i stojące pod ochroną władz. W średniowieczu prostytutki organizowały się w cechy mieszkające w burdelach i płaciły miastu daninę, podlegały najczęściej katu i zmuszane były do noszenia specjalnego ubrania lub znaków wyróżniających (np. złotego kółeczka na rękawie).

Wy teraz powiecie: a co tam nas obchodzi złote kółeczko? Przyjemnie nam się czyta, ale tak powiecie. Niby nie interesują was te sprawy (o pruderio!) (t) w Egipcji i Babilonie; chcecie wiedzieć jak to wyglądało u nas. Więc na ogólne żądanie — robie przez we w wykładzie historii, i... już jesteśmy w kraju.

W Polsce przedwojennej był tylko projekt ustawy, regulującej problem prostytucji. Prowadzenie domów publicznych — zabronione. Nie rząd — tolerowany. Reglamentacja — nieprzymusowa. Dopiero gdy prostytutka wchodziła w konflikt z władzą — ulegała przymusowej reglamentacji. Wspólnie mogły mieszkać najwyżej dwie prostytutki, i tylko w takich lokalach, gdzie nie wywoływały zgorszenia publicznego, gdzie nie mieszkali małoletni. Przepisy policyjne wyznaczały pewne ulice i godziny, w których wolno było wykonywać ten proceder. Były to (podobno) rejon na uboczu, z dala od urzędów państwowych kościołów i szkół, parków i ogrodów publicznych.

Więc pytam teraz: jak to się dzieje, że w Polsce powojennej, prostytucja — i to nie tylko ta na wysokości polskiej: w nylonowych bluzkach i zamaszowych płaszczach, ale również, przede wszystkim, ta rozchełstana, brudna i cuchnąca — gnieździ się bezkarnie przy ulicach głównych? W sąsiedztwie urzędów i szkół? W Warszawie przy Alejach Jerozolimskich — z bazą w „Polonii”. We Wrocławiu przy ulicy Świerczewskiego — z bazą na dworcu. W Łodzi przy Piotrkowskiej — w okolicach tak zwanego deptaka. Tam, gdzie jest hotel i knajpa, kino i kawiarnia. Tam, gdzie najczęściej spacerują zagraniczną turyści z aparatami fotograficznymi w ręku, i gdzie wieczorami ciągnie młodzież zwabiona blaskiem świateł. Tam, gdzie wisi wizytówka miasta, która ja — purytanin i ty — człowiek o mieszczańskich kryteriach moralności — chcieliśmy zachować czystą, niepokorną. My dwaj jesteśmy najwinnymi, niedzielnymi zakłamanymi. My się obaj strasznie narazimy — nie milicji, gdyż wychodzi ona ze skóry, żeby przeciąć ten wrzód na Piotrkowskiej — w wolnym kraju każdemu wolno stać na ulicy i czaić się w bramie, i kręcić tykiem w kawiarni i odwiedzać przed dziełami hotelowych gości, i brać upominki lub pieniądze i, a jakże, zostawiać upominki w postaci złośliwych zwierzątek: każde mu wolno nie pracować uczyć

wie, bo w wolnym kraju nie ma przymusu pracy. Bo Karata Praw Człowieka zakłada, że praca jest zaszczytem, a do zaszczytów nikogo się nie zmusza. — Więc komu się na razimy? Narazimy się prostytuskom. (Pewien dziennikarz, który przede mną podjął ten temat, padł ofiarą wyrafinowanej zemsty: wszystkie dziwki w miesiące podawały go w przychodniach „W” jako „kontakt”). Narazimy się stręczycielom. (W pewnym mieście paru alfonsov wybiło autorem krótkiej informacji sądowej oko i wszystkie zęby). Narazimy się i „humanistom”. Ale tym powiedzmy: dziwki, to są u nas święte krowy, gdyby tylko zechciały pracować, znam co najmniej cztery takie instytucje, które by im pomogły, od ręki i szczerze i chętniej niż komukolwiek innemu, gdyż poprawa obyczajów leży im bardzo na sercu.

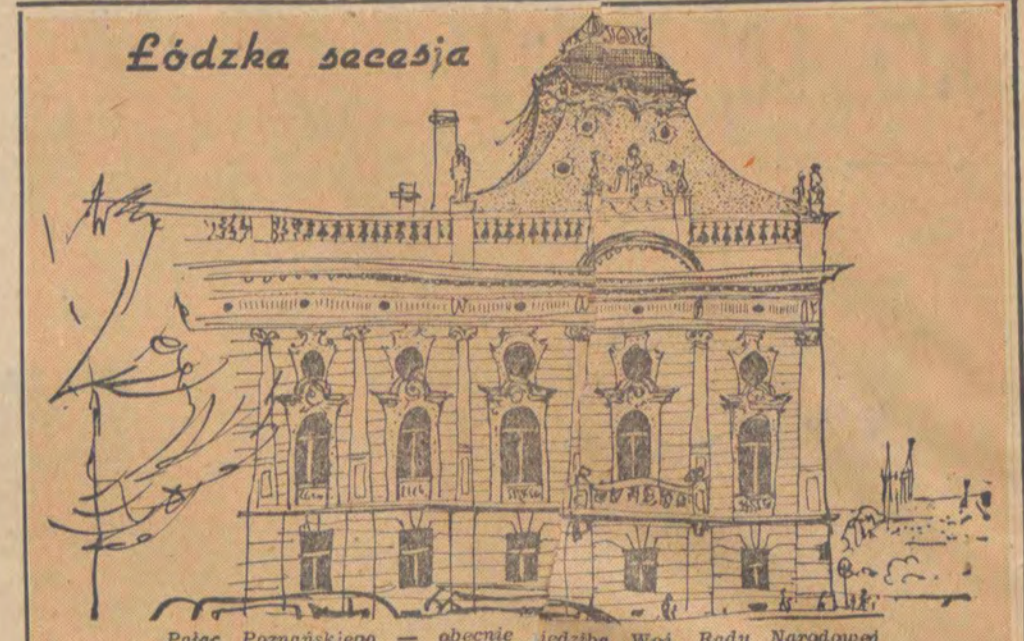
Narazimy się!

2.

Człowiek naiwny może tu zupełnie zgubić. Człowiek naiwny o dziesiątej wieczorem może dostać kręka. Nie chodzi o kawiarnię „Grand”, w której te sprawy załatwia się w miarę elegancko i szybko. Tak zwany KOC — Klub Obsługi Cudzoziemców — świadczy szeroki repertuar usług w różnych specjalnościach. Korzystają z tego przybyłe z innych krajów i innych wielkich miast Polski, i jak twierdzi mój rozsądny znajomy, trzeba mieć niedobrą w głowie, żeby się na to burzać, żeby się temu dziwić, żeby to zwalczać. „Nie róbmy z Łodzi prowincji!” — mówi mój rozsądny znajomy. „Nie róbmy problemów z tego, co ma oczywistą rację istnienia!”

No dobrze. Przypuśćmy, że znajomy ma rację. Przypuśćmy, że z „Grandką” jest wszystko w porządku — pomijając oczywiście to, że do srumienia kawiarnianego nierząd dopływa rok w rok świeża młoda krew; owe nastoletnie dziewczyny zwabione tam blichrem, perspektywą łatwego (czy na pewno łatwego?) zarobku, beztrudnie go (czy na pewno?) życia. Jest wszystko w porządku — ale trudno, żeby nie trafiały nas szlag, żeby nie brała człowieka jasna, przenajświętsza cholera, kiedy się widzi jak pierwszy lepszy begwał z zagranicznym paszportem — ma na skinięcie, na jedno niebieda, sprone skinięcie palucha — te młode, często wspaniałe dziewczyny; a z nimi część naszej dumy, część honoru, kupione go za sweter turecki, bluzkę, parę pończoch, parę butów, parę nędznych i parszywych groszy...

Nie chodzi także o inne kawiarnie: „Łodziankę”, „Warszawiankę”. Tu też jest wszystko w porządku — tu, wmięszane, rozmarzone w tłu nie zwykłych ludzi — pracują prostytutki kategorii „B” — eleganckie, ale już



Pałac Poznański — obecnie siedziba Woj. Rady Narodowej



Pałacyk przy ul. Gdańskiej 107

mniej, efektowne, ale już nie tak. Przepaść między kategorią „Grand” a kategoriami „Łodzianka” czy „Warszawianka” — to przepaść ogromna, to dwa wroble, nienawidzące się wzajem obco, z których pierwszy pogardza drugim, a drugi zazdrości pierwszemu; ale naturalna, logiczna kolej rzeczy jest taka, że w miarę wpływu lat w miarę przyplwy młodej świeżej krwi — te z kategorii „A” spadają do kategorii „B”, a później z kategorii „B” — jeszcze niżej, do bram, na skwery, na ulice... Więc ty, piękna dziewczyno, która dopiero zaczęła swoją drogę, która dopiero stawiasz pierwsze nieporadne kroki, która teraz siedzisz w kawiarni i czytasz „Ogłosy”, pijesz kawę, palisz papierosa, dręczysz przecuciem najbliższych godzin rozmawiasz ze swoją trochę starszą, bardziej do-

świadczoną koleżanką, prawie sobie komplementy, opowiadacie dowcipy, ty jej się pytasz: „Powiedz, kochana, powiedz, ty to robisz z miłości, czy z gotówkę”? A ona się śmieje, mruczy oczy i mówi: „Wiesz, chyba z miłości, chyba jednak z miłości, bo co za te sto złotych można kupić?” — ty, piękna dziewczyno, zastanów się, prozę, nad moim pisaniem — nad moim nad pointą, która ci na koniec zafunduje, i nie po to, aby cię straszyc, ale żeby przestrzec, żeby ci pokazać, gdzie prowadzi droga...

3.

Pijane, rozchełstane, stoją w bramach przy głównej ulicy. Natrętne, zaczepne. Idą skrajem chodnika. Może kiedyś były to ładne dziewczyny, teraz są chwastami Piotrkowskiej. Śmieją się rechotliwie bezbębny ustami, kina, bluzgają slangiem, odbijają się od murów szarpia wzajem za włosy, okładają pięściami, walczą o łup, o klienta, o tego drobnego pijacka, który akurat wyszedł z knajpy zabłąkany w dzungli miasta, który nawet nie ma siły się broń nie skacza na niego wiec, on jeden a ich pięć — one w wieku naszych matek, one — siwe, one — lysy, one wytylane w rynszokach.

W każdym mieście jest główna ulica. W każdym mieście jest ulica — honor, ulica — wizytówka, ulica najwyższego hotelu, najwspanialszej knajpy, największego kina. W Łodzi taką ulicą jest Piotrkowska.

Więc prosimy oczyścić nam Piotrkowską.



Lewym okiem

JASNE WIELMOŻNY MARGRABIO...

Spotykając w witrynach księgarskich coraz to nowe opuszczone zbiory listów wybitnych osób, czytając te listy często jak fascynującą artystyczną prozę, nie możemy wyjść z podziwu: ileż ci ludzi mieli czasu, ile w tych listach — osobistych przecież, nawet intymnych — gorącego zaangażowania się w aktualne wielkie sprawy publiczne, ile oryginalnych przemysłów, dowcipu, finezji, zmysłu obserwacji! Wymiana korespondencji była niegdyś naprawdę wymianą myśli, była formą osobistego, prywatnego kontaktu ze światem, dziś ledwie gdzieś resztkami dającego się zauważyć. Odkąd upowszechniło się radio, telewizja, kino, prasa, gigantofony na placach milionowych miast — jeden mówi, a dziesiątę milionów słucha. W takim dialogu możemy wziąć udział najwyżej kłasińcem w dłonie, pomrukiem w stronę sąsiada, śmiechem. Zanika kunszt rozmowy, nawet tej najzwyklejszej, towarzyskiej, zanika też pokrewna mu i tożsama z duchem — sztuka korespondencji.

Nie mamy ani czasu, ani potrzeby. Można dla przekazania pilnej informacji podnieść słuchawkę telefonu. Można wsiąść w autobus, za pół godziny być przy ukochanej i zamknąć pisnąc do niej tymowane wyznania — potrzymać za rękę w ciemnym pokoju pod akompaniament skąpą Matysiańską. Daleki powiat za lasem osiągamy na motorze w kwadrans, o ile nie skręcimy po drodze do szpitala. Kiedy już najpóźniej, a najdalej — zamawiamy przez telefon depesze numer X albo numer Y: życzenia lub kondolencje mamy z głowy. Nie trzeba myśleć.

Nie będziemy się jednak martwić faktem, że pokolenia późnych wnuków nie będą mogły czerpać wiedzy o naszym czasie z naszych zachowanych listów. Nie piszemy listów, a jeśli piszemy — to niżej ich nie przechowuje, bo nawet biurka nie mają szuflad; a jeśliby chciał przechować, to nasze ulepszone oatomki papieru rozsypanyby się za pięć lat jak akta w naszym biurowym archiwum; a jeśliby się nie rozsypany, to wyparowałyby z nich bez śladu długi tonowy tusz. Wiedza o epoce będzie na taśmach magnetoфонowych, w mikrofilmach, w przemysłowych mikrokonserwach. Zobiektywowana, zgeneralizowana, skonformizowana.

Zamiast się martwić o przyszłość, zabawmy się wspomnieniem, jak to bywało — tak niedawno! — pół wieku temu; secesja przecież modna. Zapalcie ostatni krzyk mody — naftowe lampki!

„Sztuka korespondencji łatwa nie jest i powinna wejść do programu wykształcenia wszelkich klas społecznych, jako bodziec przystojności towarzyskiej, niestety, zbyt często u nas zaniedbywanej” — pisał M. Rościszewski w 1903 roku w kapitalnym dziełku „Pisarz i doradca”. Tak więc — pouczaj — „figlarna wesołość tylko w

bardzo poufalej przystoi korespondencji, żartobliwy ton do osób równych sobie, laskawy do niższych, pełen uszanowania do starszych i wpływowych”. Zacząć trzeba od przeprosin za „utrudzenie korespondencyj”, zakończyć wyrazami szacunku. Zaproszenie na obiad pisz w osobie trzeciej: Kowalacy zapraszają... Natomiast na wieczór prosz tylko panu domu: Kowalska zaprasza... „Cztery są główne tytuły, spotykane w naszym życiu publicznym: towarzyskim: książe, margrabia, hrabia, baron”. Do księcia pisze się „Jasnie Obwiecony”, do pozostałych — Jasnie Wielmożny!”

Na każdej okazyj M. Rościszewski znajduje dobrą radę. Jak powinien wyglądać „list rekodzielniczy do Dobroczyńcy, który go do Niemiec na naukę wysłał”, a jak pierwszy list z podróży poślubnej do matki: „Pan Jan, a raczej Jaś, mój mąż — oświadczył mi z tym nie mogę...”

List do wielbiciela może wyglądać tak: „Jestem rozczepiona dowodem Twojej pamięci. Przybywaj, ażebym własnymi paluszkami mogła Ci włożyć do buzi najświeższą pralinę z nadesłanej bombonierki” — albo tak: „Mogę Pana zapewnić, że nie jestem przeciętną Jego osobie, chociaż list zastał mnie wcale nieprzygotowaną. Pragnęłabym widzieć Pana dziś wieczorem”.

Co innego jednak schemat — depesza numer X czy choćby „mogę Pana zapewnić, że...”, a co innego prawdziwy list. Nikt się nigdy nie nauczył, jak pisać listy, chyba że urzędowe. Albo ma się coś do powiedzenia, albo nie. Sztuka pisania listów zanika. Czyżbyśmy mieli sobie coraz mniej do powiedzenia?

CWIEK